

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 7 lipca 1946 r.

Nr 27 (84)

ALEKSANDER PUSZKIN

przełożył JULIAN TUWIM

EUGENIUSZ ONIEGIN

ROZDZIAŁ DRUGI*)

I

Zaciszna wioska, gdzie się nudził.
Był to przedziwnie piękny kąć.
Kto spokój lubi i odludzie,
Mógł niebo błogostawić stąd.
Nad rzeczką stał na zboczu stromym,
Od wiatrów górą odgradzony,
Dom wielkopański. W dali, w dół,
Widniały niskie chaty siód;
Pastwiska, stada, bujne łąny
Mieniły się mozaiką barw.
Ogromny, zapuszczony park,
Przyłutek Dryad zadumanych,
Szeroko cienie wokół stał
I w dni upalne chłodem wiał.

II

Dwór zbudowany był na modłę
Tradycji mądrej: trwały mur,
Solidne wszystko i czigodne,
Dla innych zamków istny wzór;
Wysokich komnat amfilada,
Portrety dziada i pradziada,
Kafłowe piece w tonach pstrych,
Obicia ścian... Lecz cały blichtr
Już o tym czasie mocno spłowił.
Czemu tak było, nie wiem sam...
To tylko wiem, że nowy pan
Tym stanem niezbyt się przejmował.
Śród modnych sal, czy starych sal,
Jednaki spleen. Więc mały żal.

III

Wziął sobie pokój, gdzie hreczkosiej
Pocziwy, wiejski żywot wiodł,
Pół wieku beszał swą gosposię
I, w oknie stercząc,uchy gniółł.
Podłoga dębem wykładana,
Dwie szafy, stół i otomana —
To wszystko. Ani śladu ksiąg,
Ni plamki z atramentu w krąg,
A w szafach — kwity i agenda,
Gąsiorów, dzbanów cały skład
I stary, sprzed piętnastu lat,
Skarbiec praktycznych rad, kalendarz,
Jedyna książka, którą wuj
Czasami karmił umysł swój.

IV

Sam jeden pośród pól i lasów,
Znudzony idylliczną wsią
Oniegin dla zabicia czasu
Reformy zaprowadzać jął.
Samołny mędrzec na swej ziemi,
Pańszczyzny starej jarzmo zmienił
Na skromny czynsz — i dawny rab
Swą dolę błogostawi, rad.
Nadał się na to sąsiad skąpy,
Dostzegłszy w tym straszliwe zło,
Drugi uśmiechnął się: „No, no...“
I poszła wieść we wszystkie kąty,
Że sąsiad bzik, by prawdę rzec,
I że się go należy strzec.

V

Z początku licznych gości miewał,
Lecz wkrótce, ledwo turkot bryk
Na szosie z dali go dobiegał,
Oniegin się ulatniał w mąg:
Dońskiego żrebca siodłać kazał
I zmykał z domu. Stąd obraz
I wnet obywatelska brać
Zerwała z nim, przestała znać.
„Dziwaczy sąsiad nasz, fiksuj!
„Farmazon! Gbur! Widział to kto,
„Szkłankami samo pić bordeaux?
„On damom rączek nie całuje!
„I ciągle tylko tak i nie,
„A panie dobrodzieju gdzie?“

VI

W tym czasie inny dziedzic młody
Odwiedził swój rodzinny kąć
I też sąsiadom dał powody,
By pójść pod ich surowy sąd.
Nazywał się Władimir Lenskij,
Był duszy istic goettingeńskiej,
A przy tym piękny, w kwiecie sił,
Czczył Kanta i poetę był.
Przywiózł ze sobą z Niemiec mglistych
Płon uczoności: sosy dzieł,
Zarliwą duszę, pełną mgieł,
Wolnego ducha płomień czysty
Entuzjizm wieczny, drżący głos
I w długich puklach kruczy włos.

*) Rozdział pierwszy drukowany był w numerze 14 (71) „Odrodzenia“.

VII

Rozpusła świata chłodem swoim
Nie ścięła jeszcze uczuć w nim.
Ciepłem czułości duszę poit
I wierzył przyjaciółom swym.
Naiwny, sercem prostak miły,
Żył, śniąc; nadzieje go żywiły,
A światła nowy blask i gwar
Dla myśli miały świeży czar.
Rozterkę serca, smutku moment
Marzeniem płoszył; życia sens
Daleko widniał, jak przez mgłę,
Zagadką, pełną dziwnych ponęt,
Rozmyślał nad nią całe dnie
I cuda podejrzewał w niej.

VIII

Wierzył, że kędyś bliźnia dusza
Musi się złączyć z nim — i trwa
Tęskniąca, smutna; że w katuszach
Upragnionego czeka dnia;
Wierzył, że druh wypróbowany
Za druha da się skuć w kajdany,
Że się nie cofnie jego dłoń,
Oszczercy wytrącając broń;
Że są gdzieś, losem przeznaczeni,
Wybrańcy-przyjaciele, ród
Co świeci, jak słoneczny wschód,
Blaskami niezwykłymi,
Ród wieczny, święty, przyjdzie czas,
Że szczęściem opromieni nas.

IX

Współczucie, dobra ukochanie,
Oburzonego serca gniew
I słodkie sławy pożądanie
Już wczesnie w nim burzyły krew.
Z lirą się w drogę swą wybierał...
Niebo Goethego i Schillera
Wzniciło w nim poezji żar,
I płomień duszy, bogów dar,
Wysokim Muzom ofiarował.
Szczęśliwy! nie zawstydził ich.
Na zawsze w dumnych pieśniach swych
Uczucia wzniosłe zaczarował:
Prostoty godnej rzewny wdzięk,
Dziewicze sny i czysty dźwięk.

X

Wsluchany w miłość, miłość śpiewał
I jasna była jego pieśń,
Jak myśli prostodusznych dziewoj,
Jak błogi niemowlęcia sen,
Jak księżyc, bóstwo czułych westchnień,
W pustyni nieba, hen, bezkresnej;
Rozłąkę śpiewał, smutek, żal
I mgliste coś i mglistą dal
I romantycznych róż piękności,
Opiewał kraj, co w dali mży,
Gdzie długo żywe jego tży
Wpływały w tono samotności;
Śpiewał wyblakły życia kwiat...
Miał wtedy osiemnaście lat.

XI

Któż inny w tym zaścianku wiejskim
Oceń mógł poetę, prócz
Oniegina? Więc stronił Lenskij
Od swych sąsiadów i od uczt.
Unikał rozmów ich odwiecznych,
Rozsądnych zawsze i statecznych,
O żniwach, o rodzinie swej,
O winie, o hodowli psiej.
Rzecz oczywista, że w tem wszystkim
Nie było myśli ani krzły,
Ni ducha, ni dowcipu skry,
Ani oglady towarzyskiej,
A dyskurs ich uroczych żon
Miał jeszcze mniej dodatnich stron.

XII

O pięknym i bogatym Leńskim
Słuch poszedł (jak to na wsi), że
W zamiarach przybył tu małżeńskich.
Każdy mu córkę oddać chce,
Choć mówią o nim: półrosjanin.
Ledwo gdzie wejdziesz, wnet się na nim
Uwaga skupia, już jest plan,
Już gani się bezżenny stan,
Do samowaru gościa proszą,
Dunia częstuje. Szepce ktoś:
„Uwaga, Duniu, bo ten gość...“
Gitarę potem jej przynoszą
I Dunia — och! — zaczyna wyć:
„W mój trzem złocisty wniżdż, o wniżdż!“

XIII

Lecz on, nie dbając o rodzinę,
Myśli o jarzmie nie mógł znieść.
Zaciekawiony Onieginem,
Zapragnął bliżej się z nim zejść.
Tak się też stało. Lód i płomień,
Wiersze i proza, mrok i promień
Różnił się między sobą mniej.
Z początku, dla obcości swej,
Nudzili się — lecz polubili.
Co dzień do siebie muszą wpaść,
Pojeździć konno... Wreszcie zaś
Po prostu nierozłączni byli.
Tak ludzi — kaję się i ja —
Bezczyność do przyjaźni pcha.

XIV

Ale i fej przyjaźni teraz
Nie znajdziesz, czytelniku cny!
Inni — to dla nas same zera,
Jedynki zaś — to tylko my.
Napoleona każdy kroci,
Gotowiśmy dla celów swoich
Po drodze zmieść dwunogów ród,
Szydźmy z uczuć, kpimy z cnót.
Oniegin — sprawiedliwy będę —
Znał oczywiście sferę swą
I choć na ogół gardził nią,
Był jeszcze znośny pod tym względem:
Dla uczuć skryły podziw miał,
A pcwnych ludzi serio brał.

XV

Leńskiego słów z uśmiechem słuchał,
Natchnionych jego zwierzeń tok,
Niepewny sąd, rozterki ducha
I wiecznie palający wzrok —
Wszystko mu było dziwnie nowe.
Oniegin nie chciał trzeźwym słowem
Uniesień poetyckich psuć,
I myślał: po co miałbym truć
Te chwile błogie, zapał świeży?
Sam zbudzi się pewnego dnia.
Tymczasem niechaj w złudzie trwa
I w doskonałość świata wierzy.
Wybaczymy młody żar i czad
Zapalczywości młodych lat.

XVI

W rozmowach i dyskusjach wiecznych
Zgłębiali każdą rzecz do dna:
Minionych plemion ład społeczny,
Problemy nauk, dobra, zła,
Pradawne bytu zagadnienia,
Przesady stare, cel istnienia,
Życie za grobem — wszystko to
W dysputach pod rozwagę szło.
Czasami w potok słów burzliwy
Poeta włączał nowy ton:
Natchnioną pieśń z północnych stron,
Więc Eugeniusz poblaźliwy
Uszami pilnie musiał strzyc,
Bo nie rozumiał nic a nic.

XVII

Lecz namiętności — te najczęściej
Odludków zaprzętały myśl.
Oniegin zwalczył je na szczęście,
Lecz o ich władzy mówił dziś
Z westchnieniem żalu mimowolnym.
Szczęśliwy, kto im był powolny,
A potem umiał żyć jak mnich.
Szczęśliwszy ten, kto nie znał ich,
Ten, kto rozłąką miłość studził,
Wrogość — obmowa; albo mąż,
Co z żoną widząc druha wciąż,
Nie znał zazdrości, lecz się nudził,
A to, co nagromadził dziad,
Do banku, nie do puli kładł.

XVIII

Gdy przybijemy do przystani
Rozsądnych i statecznych dni,
Już ze swym losem pojednani,
Bez ognia dawnych pasji w krwi;
Gdy już nas śmieszają ich zapędy
I zew spóźniony, nieogledny, —
My, nie bez trudu cisi już,
Lubimy język cudzych burz
I namiętności niespokojnych
Tak stary inwalida-zuch
Wytęża przytępiiony słuch,
Gdy młody wąż, prosto z wojny,
W uszronnej chacie siadłszy z nim,
Wspomina bitew grom i dym.

XIX

Tak samo młodość gorejąca
Nie skryje, co jej w duszy gra:
Nienawiść, miłość, smutek, żądza;
Co w sercu — na języku ma.
Oniegin, uczuć inwalida
(Bo sam się sobie lakim wydał),
Słuchając, ważną minę miał,
Poeta ze wzruszenia drżał,
Sumienia szczerą snując spowiedź.
Obnażał przed nim duszy rdzeń
I jasna stała się, jak dzień,
Miłości młodej prosta powieść:
Stara jak świat, bez żadnych zmian,
Pieśń serca, znana wszystkim nam.

XX

Ach, kochał duszą swą szajoną,
Jak dzisiaj nikt nie kocha już,
Jak jednej tylko jej sądzono
Śród wszystkich na tym świecie dusz.
Jeden ideał i marzenie,
Zawsze to samo zachwycenie,
Wszędzie ten sam tęsknoty zew!
I ani wdzięki innych dziew,
Ni dal, co koi i ochładza,
Ani rozłąki długi czas,
Ni obce ziemie, pełne kras,
Ni muzy i nauki władza,
Nic nie zmieniło duszy w nim.
Jeden mu lśnił promienny nimb.

XXI

Oczarowany od lat wczesnych
Uroczą Olgą, kochał ją
Bez mąk serdecznych, ran bolesnych,
I jak w obrazek patrzył w nią.
Dzieci bawily się wesoło,
A już się ojcom-przyjaciółom
Marzyło w głębi serca, że
Dozgonny związek złączy je.
Tak w głuszy kwitła, na zabawie
Bez trosk spędzając dzień za dniem,
Owiana niewinności tchem,
Niczym konwalia w głuchej trawie:
Ni moył do niej drogę zna,
Ni pszczoła tajny dostęp ma.

XXII

To jej, bohdance swej, zawdzięczał
Miłości pierwszy sen i dreszcz,
I dla niej pierwszy pieśń młodzieńczą
Wyśpiewał, tęskniąc, przyszły wieszcz.
Żegnajcie, dawne złote wczasy!
Pokochał gęste gaje, lasy,
Milczenie nocy, migot gwiazd,
Samotność i księżycu blask —
Księżycu, lampy niebios wiecznej,
Co wiodła nas przez nocne mgły
I oglądała nasze tży,
Oslodę męki, tży serdeczne,
A dzisiaj nie widzimy w niej
Nic więcej, prócz latarni mdłej.

XXIII

Wesoła zawsze jak poranek,
Gościnna (z czego słynął ród),
Słodka jak uścisk zakochanych,
Z naiwnym sercem, pełnym cnót,
Oczy jak niebo, srebrnoglōsa,
Czarowny uśmiech, kibić — osa,
Zębki — peretki, włosy — len,
— Ach, Olga... Ale portret ten
Powtarza się w powieściach wiecznie.
Miły bo miły. Dawniej sam
Lubiłem go śród pięknych ram,
Ale mnie znudził tak serdecznie,
Że dziś go już nie mogę znieść;
Do starszej siostry wolę przejść.

XXIV

Na imię było jej Tatiana,
Co u nas niezwykłością jest.
W powieściach dotąd rzecz nieznaną
Dostaje tutaj pierwszy chrzest.
Bo choć służebną traci izbą
I myszką i staroświecczyną,
Jest miła i przyjemnie brzmi.
Smaku nam brak, przyznajcie mi.
Kto się w imiona nasze wslucha
(Nie mówiąc już o wierszach), wie,
Że z oświeceniem u nas źle:
Prawdziwy kwiatek do kożucha,
A cały z niego profit nasz
To fochy i wylwornv fasz

XXV

Więć, mówię, zwała się Tatiana.
Któż w nich domyśliłby się siostr?
Jedna wesoła i rumiana,
Z uśmiechem na koralu usz,
A druga smutna i bolesna,
Płochliwa jak sarenka leśna,
Śród swych najbliższych, w domu swym,
Jak cudza rosła, obca im.
W dzieciństwie zabaw unikała
Ni figle nie nęciły jej,
Do ojca i do matki swej
Pieśczołą się nie przymilała,
Lubiła przy okienku się
I patrzeć w dal i dumi prząść.

XXVI

Zaduma, przyjaciółka Tani
Od niemowleńskich prawie dni,
Zdobita życie marzeniami
Na cichej i ustronnej wsi.
Nie znała igły rączka wąta
I nie ciągnęła nitki z wąta,
Żeby jedwabny równy ścieg
Ożywił barwą płótna brzeg.
Zaczętek żądz panowania:
Postuszną lalką bawiąc się,
Dziewczynka ją pouczył chce,
Strofuje i do cnót nakłania,
Z powagą powtarzając jej
Morały rodzicielki swej.

XXVII

Lecz lalka, nawet w owe lata,
Tak mało obchodziła ją!
O modnych komerażach świata
Nic Tania nie mówiła z nią.
Lubiła klechd i baśni słuchać,
Gdy wyla śnieżna zawierucha,
I strasznych opowieści splot
Wolała od dziecińczych psot.
A gdy dla Oli dobra niania
Na świeżę zwolywała ruń
Jej małych przyjaciółek rój,
Stroniła od ich zabaw Tania
I nudził ją wesoły śpiew
I szumne gry i dźwięczny śmiech.

XXVIII

Lubiła nocą na balkonie
Jutrzenki wypatrywać brzask,
Kiedy na bladym nieboskronie
Znikają korowody gwiazd
I krawędź nieba różowieje
I zwiastun świtu, wielrzyk wieje,
I z wolna wschodzi jasny dzień.
A zimą, kiedy nocy cień
Połowę ziemskiej sfery skrywa
I w mroku tonie światła spód
I błogo śniąc, lekki wschód
We mgle księżycza odpoczywa, —
Przy świecy jeszcze, dzień po dniu,
Zrywała się z czujnego snu.

XXIX

Jej drugim życiem książki były,
Romanse porywały ją,
Kochała się w zmysłeniach miłych
I Richardsona i Rousseau.
Jej ojciec, poczciwość człowiek,
W poglądach był spóźniony o wiek,
Lecz pobłażliwość miał dla ksiąg,
Nigdy nie biorąc ich do rąk.
Jako zabawę je traktował
I wiedział, że nie runie dom,
Chociaż córeczka tajny tom
Do rana pod poduszką chowa.
Lecz żonę, wzorem innych żon,
W zachwyty wprawiał Richardson.

XXX

Wielbiła swego Richardsona
Nie przeto, że czytała go,
I nie szło jej o Grandisona,
Ani jej o Lovelace'a szło,
Ale moskiewska jej kuzynka,
Urocza księżna Paulinka,
Opowiadała o nich wciąż
Za czasów, gdy obecny mąż
Był narzeczonym — nie z wyboru;
A serce jej naówczas skradł
Któs inny całkiem — modniś, chwał,
Co znacznie więcej miał walorów.
Ów Grandison grał w karty, pił
I gwardii sierżantem był.

XXXI

Jak on, posłuszna prawom mody,
Budziła podziw gustem swym.
Aż, bez jej zgody czy niezgody,
Ślub wyprawiono — lecz nie z nim.
By ją pocieszyć, i z rozsądku,
Mąż wneń ją zawiózł do majątku,
Gdzie ją odczył cały tłum
Niewiarogodnych cioci i kum.
Płakała, wszystko ją raziło,
Chciała się rozwieść. Wreszcie ją
Wciągnęło gospodarstwo, dom,
Przywykła — i już dobrze było.
„Przywczka swysze nam daną
Zamiana szczęśliu ona“*)

XXXII

Ulżyło jej przyzwyczajenie,
Lecz ból serdeczny ciągle cmił.
Zupełnym wreszcie ukojeniem
Wspaniały pewien pomysł był.
Wygrała walkę tym orężem;
Odkryła sekrety, jak nad mężem

*) Dwuwiersz ten, który stał się rosyjskim zwrotem przysłowiowym, zostawiam w brzmieniu oryginalnym, gdyż, jak dotychczas, nie udało mi się przetłumaczyć go dostatecznie dobrze. Dosłownie: „Przyzwyczajenie jest nam dane przez Opatrzność. Zastępuje ono szczęście“.

Sprawować absolutny rząd.

Zbawienny był ten nowy rząd.
To chłopów pędzi na robotę,
To przy rachunkach, to na mszy,
Ogórki kwas, goli lby,
Do łaźni chodzi co sobotę,
Służące bije — wodzi rej
Bez męża, według woli swej.

XXXIII

Dziewojom czułym wpisywała
Poezje do albumu krwią,
Praskowię Celestyną zwała
I zamiast on mówiła a,
Przez nos, z francuska... Gorset modny
Nosila, bardzo niewygodny,
I śpiewnym tembrem głos jej drżał.
Cały ten kram niedługo trwał:
Sztambuchy poszły w zapomnienie,
Jak gorset i comtesse Pauline,
Znów było Filonowi Klim,
A Fiolka dawnej Celimienie,
Marzenia przysły, minął wdzięk,
A nastął szlafrok, kluczy pęk...

XXXIV

Lecz mąż fantazjom jej poblażał,
Bardzo ją kochał, nawet cził
I za wyrocznię ją uważał,
A sam w szlafroku jadł i pił.
Spokojny żywot wiódł pan dziedzic.
Bywało, zjadą się sąsiedzi:
Z serca do serca, za pan brat,
Pogwarzają, obgadają świat,
Pożalą się, pośmieją szczerze,
Nie zdąży się obejrzeć człek
A czas na pogawędce zbiegł,
Już Olga prosi na wieczere,
Więc naje się sąsiedzka brać
I — czas do domu, pora spać.

XXXV*)

XXXVI
I tak starzeli się oboje,
Aż wreszcie przed małżonkiem cnym
Grobu rozwarły się podwoje
I światłość wieczna była z nim.
Tuż przed obiadem cicho skołał.
Płakała nad nim wierna żona
I dzieci i sąsiedzi dwaj.
Przypadnie pocciwocny raj,
Bo to był prosty, dobry barin;
A tam gdzie spoczął w wiecznym śnie
Nagrobny kamień wznosi się:
„Pokorny grzesznik, Dmitrij Łarin,
Rab boży i brygady szef
Na archanielski czeka zew“.

*) Strofę tę, zawierającą opis tradycyjnych rosyjskich obyczajów, pozostawiam tymczasem bez przekładu.

XXXVII

Gdy do penatów swych powrócił,
Odwiedził Lenskiej skromny grób,
Zamyślił się, westchnieniem uczcił
Popioły śród mogiłnych grud.
I długo dumi snuł zawite:
„Poor Yorrick!“ rzekl, „Gdy dzieckiem byłem,
Na rękach często nosił mnie.
Pamiętam, jak bawiłem się
Medalem jego oczakowskim.
Przeznaczył dla mnie Olgę... Wiem,
Jak bardzo tęsknił za tym dniem“...
Tu — z żalu i serdecznej troski —
Nakreślił epitafię dlań —
Wdzięcznego serca czułą dań.

XXXVIII

Był obok inny głaz cmentarny,
I smutnym wierszem uczcił syn
Rodziców proch patriarchalny.
Cóż! zrządzit los wyrokim swym,
Że kłosa na życiowej niwie
Padają w błyskawicznym żniwie,
Dojrzewa potem nowy plon
I znów go czeka wzrost i zgon.
Tak ród nasz wietrzny, od pokoleń,
Buzuje, wre, na oślep gna
I dziadów do mogiły pcha.
Ale i nasza przyjdzie kolej,
I nasze wnuki wyprą nas
Ze świata pod mogiły glaz.

XXXIX

Tymczasem — niech was oszalał
Upojne wino lotnych dni!
Żywoła marność dobrze znam ja
I łatwo się rozstanę z nim.
Już nie mam złudzeń. Ale nieraz
Nadzieją trwożną serce wzbiera,
Zaczyna marzeniami żyć...
Markotno tak bez śladu zgnieć
I nic po sobie nie zostawić.
Gdy piszę, nie o sławie śnię...
A czuję, że coś korci mnie,
By smutne dzieje swe rozślawić,
By o mnie, jak oddany druh,
Choć jeden dźwięk przypomnieć mógł.

XC

I tej jedynej pragnę chwały,
By czyjeś serce wzruszył on.
I może strofy ocalał
Lelejska nie pochłonie toń.
I już mi się w marzeniach roi,
Że przed portretem moim stoi
Prostacek ciemny przyszyłych dni
I „To ci był poeta!“ grzmi.
Więc przyjmij dzięki me stokrotnie,
Czcicielu cichych Muz! O, ty,
Co z zapomnienia gęstej mgły
Dobędziesz twory me polone,
A laur, zdobiący starczą skroń,
Poklepie twoja zacna dłoń.

Aleksander Puszkין
przełożył Julian Tuwim

JULIAN PRZYBOS

Próba oka

Dawno nie czytałem artykułu, który by zrobił na mnie takie wrażenie jak praca Tadeusza Dobrowolskiego pt. „O hermetyzmie i społecznej izolacji dzisiejszego malarstwa“ („Odrodzenie“, nr 80). Już sam tytuł wyzywał swoim przekornym nie — rzuconym powszechnie opinii artystów i ludzi znających się na sztuce. Nasunęło mi to przypuszczenie, że autor, nie tylko przeciw historyk sztuki, ale i krytyk dzisiejszego malarstwa, pragnie przyjąć na chwilę postawę ironisty; że tytuł swoich rozważań opatrzył dla siebie cudzysłowem, a nie uwidocznili go tylko dlatego, żeby tym dowcipniej zakpić sobie z kołtunów. Utwierdziły mnie w tym domyśle „Uwagi wstępne“ Dobrowolskiego, zapowiadające walną rozprawę ze współczesnym malarstwem. Zdawało mi się, że krytyk-filut zamierza wdać się w subtelną grę, że udając prostaczka mówiącego, jak zaznaczył, „o ile możliwości potocznym językiem“, naiwnisza, nie znajdującego się nic a nic na malarstwie, doprowadzi czytelnika do śmiechu z twierdzeń, które pozornie tylko są opinią jego, Dobrowolskiego, a w istocie są manifestacją teoty plastycznej prostaka, którego opinie — on — z cicha pęk — pragnie zdemaskować. Podtrzymywała to moje przypuszczenie dyskretna wzmianka, że autor rozprawki „bardzo lubi“ współczesną sztukę.

I istotnie, czytając rozdziałek pt. „Główne cechy dzisiejszego malarstwa“ pękałem ze śmiechu, jak świetnie Dobrowolski, udając małego Dyzia, charakteryzował kierunki współczesnego malarstwa: zwłaszcza to, co mówił o kubizmie i koloryzmie (nazwa zastrzeżona przez autora), wydało mi się znakomitym persyflazem infantylnego myślenia o plastyce; złośliwą satyrą na ludzi pozbawionych zmysłu plastycznego, na ślepców, którzy patrzają na obraz tak jak na stół lub na półmisek z sałatą.

Uśmiechałem się, jeszcze wierząc w igraszkę, gdy czytałem dalszy rozdziałek: „Stosunek malarstwa do natury“. Przykładem umyślnego nonsensu wydało mi się szczególnie zdanie: „Przedmioty w sztuce Bonnarda, cho-

ciaż jeszcze czytelne, tracą nieraz znaczenie jako byty fizyczne, podporządkowane niemal bez reszty autonomicznej, malarzkiej powierzchni dzieła“. Nie trzeba być semantyką, by z niezamierzonego sensu tego twierdzenia (jeśli ma sens) wywieść, iż w dobrym malarstwie na namalowanym stolku można usiąść, bo niepodporządkowany powierzchni obrazu winien chyba wysterknąć na zewnątrz? Ale dalsze ustępy rozprawy otworzyły mi oczy, wprawiając w zdumienie bliskie osłupienia. Autor wszystko napisał na serio! To nie persyflaz, to nie chwilowa poza, nie udawanie Dyzia, ale niemal ze ex cathedra głoszona teza profesorska. Autor głosił to wszystko z powagą, wiążąc: z namaszczeniem i poczuciem dostojności, używając pluralis maiestaticus.

Sądziacie, że powinienem się od razu domyślić? Nie dawałem wiary, broniłem się przed przynębieniem. Niestety, za wszystkie sądy, wypowiedziane w artykule „O hermetyzmie“, odpowiada Tadeusz Dobrowolski i do tej odpowiedzialności trzeba go pociągnąć.

W sztuce rzeczą zasadniczą jest zdolność do odczucia i rozumienia dzieła sztuki. Można przeczytać setki książek z dziedziny estetyki, zwiedzić setki muzeów, a patrzeć na arcydzieła jak na produkt stolarza czy kucharki. Można posługiwać się precyzyjnym słownictwem krytycznym — (na chybił-trafił, na niby) — a nie posiadać wrażliwości estetycznej, nie doznawać dzieła sztuki, patrzeć na obraz jak na stół czy półmisek z sałatą. Iluż szanownych profesorów, autorów pękających rozpraw i historii literatury — po prostu nie czuje poezji! Iluż pisze swoje nie kończące się ple-ple, upozorowane uczoną terminologią — a ani razu nie doznało poezji! Nieraz trudno zdemaskować takie uczone kalectwo, wspierające się jak na szczydach na przejętej teorii lub kupie szczegółów z historii sztuki; nieraz dopiero traf, jakieś szczególne poślizgnięcie się odsłania jawość i, jak mawiał Gombrowicz, „absolutną niemożność“. Casus Kridla, który opowiedział Kubacki, profesora, po którym — ho! ho! — jakich można się było spo-

dziewać wnikliwych analiz, jakiego zrozumienia sekretów poetyckich — jest znamienny.

Kridl, wojujący pionier krytyki formalnej w literaturze, zdradził nagle swoją zupełną indolencję, swój zupełny brak smaku. Gdy mu przyszło wybrać, jako przykład, konkretny, doskonały utwór liryczny, ujawił kompromitujący brak wrażliwości na poezję: profesor wybrał bezwartościowy kicz. Taka jedna próba zmysłu estetycznego wystarczyła nam, by w profesorze uznać tylko kalekę pozbawioną wrażliwości estetycznej, kalekę, być może nieświadomego swego kalectwa, więc tym bardziej godnego pożałowania.

Równie przynębiające wrażenie zrobiła na mnie rozprawka Tadeusza Dobrowolskiego w chwili, gdy ujawniła mi się na konkretnym przykładzie jego „absolutna niemożność“, jego brak wrażliwości plastycznej. Piszę te słowa z przykrością, ale bez współczucia. Dlatego, wyjaśnić za chwilę.

Dobrowolski nie chodzi na szczydach teorii, przeciwnie, lekceważąc założenia wszelkich teorii, pragnie rzekomo oprzeć się na prostym oglądzie, i — na historii. W istocie, nagromadził w swojej rozprawce — nie wiadomo po co — stos rupiec z historii sztuki i historii w ogóle. „Początek procesu, którego rezultatem miał się stać rozbrat między sztuką a społeczeństwem, przypada na ów historyczny w formowaniu się nowoczesnego człowieka moment, kiedy odkryto indywidualność“... pisze sobie spokojnie tej podobne szkolne bajdurki z miną jakby odkrywał tajemnicę. Nie wiadomo po co, bo z tego stosu uwag historycznych nie wynika. „Propozycje“ Dobrowolskiego brzmią tak: liczcie na siebie i opanujcie przyrodę. Bagatela! Czy istniał kiedykolwiek artysta, który by nie liczył na siebie i nie dążył do opanowania przyrody? Chodzi tylko o to, co rozumiemy przez opanowywanie w sztuce przyrody. Hasło Dobrowolskiego nie znaczy więcej niż zbożne: „Ora et labora!“

Dalsze słowa manifestu są również wymowne: „Propagujemy zatem realizm. Realizm

ten rozumiemy jako zwrot do rzeczywistości obiektywnej, do przedmiotów i człowieka, zarazem do form o tyle prostych, żeby były zrozumiałe dla przeciętnych ludzi“. Zanim zrozumiecie, co się tu propaguje, zgadnijcie kto propaguje. Artykuł podpisany jest tylko przez Tadeusza Dobrowolskiego. Zatem pod owym „my“ nie ukrywa się grupa artystów, lecz sam autor, historyk sztuki i krytyk w jednej osobie, używającej pluralis maiestaticus. W owym majestatycznym „my“ interesuje mnie tylko jedno: Czy autor artykułu jest wrażliwy na dzisiejsze malarstwo? Czy umie patrzeć na obraz, czy widzi? Taka próba oka jest rozstrzygająca i na niej tylko, a nie na niepotrzebnym balacie teorii czy wiadomościach z historii sztuki można budować zaufanie do tego, co kto głosi.

Powtórzył się casus Kridla. Niesporokowany przez niego, Dobrowolski sam w swoim artykule odsonił swoją „absolutną niemożność“, swoją ślepotę na współczesne malarstwo. Humorystyczna charakterystyka kierunków artystycznych, horrenda, jakie śmiało wygłasza na temat malarstwa Cézanne'a i Bonnarda — są przykrym i zawstydzającym dowodem. Wystarczy, jak było w wypadku Kridla, jeden przykład. Posłuchajcie, co mówi o rysunku w obrazach Bonnarda: „Tę inność w stosunku do zewnętrznego świata podkreśla artysta w sposób nie pozbawiony perwersji, bo unika uproszczeń i deformacji typu konstrukcyjnego (Cézanne, Gauguin), żeby zastąpić je rysem infantylnym, świadomą niezręcznością rysunku“... Pomijam niezręczne sformułowanie myśli, chwytam krytyka na rzeczy konkretnej: na jego widzeniu rysunku w malarstwie Bonnarda. Kto z prawdziwych malarzy, kto z ludzi wrażliwych na plastykę może dopatrzeć się w rysunku Bonnarda „rysu infantylnym“, „świadomej niezręczności“? Rysunek Bonnarda jest mistrzowskim przykładem wtopienia w kolor, jest dowodem doskonałej zręczności, takiego zespolenia konturu z łagodnie lub burzliwie falującym jeziorem barw, że nie odziera się odeń, lecz kąpie, wzbogacając i po-

ruszając płaszczyzną barw, a sam nabiera przez to niezwykłego wdzięku precyzji i trafności. Tylko, że precyzja wynika z oka czulego na plastykę, z oka malarzkiego, a nie z oka, szukającego w obrazie stołka do siedzenia czy sałaty na obiad.

Drugi przykład: „Bonnard maluje ludzi, krajobraz i martwe natury, które również (jak u Matisse'a — przyp. mój) tworzą dywanowe nieprzestrzenne powierzchnie... Wystarczy. Oko, które nie dostrzega przestrzenności malarstwa Bonnarda, jest ślepe! Tej niewypowiedzianej lekkiej i lotnej przestrzeni, jaka dzieje się stworzona przez kolor w obrazach Bonnarda! Nie widziałem u nikogo w malarstwie współczesnym tyle przestrzenności, tak porywującej wzrok — jak w jego obrazach.

Te dwa dowody niewrażliwości zwalniają w zupełności od obowiązku poważnego traktowania sądów krytyka. Próba oka dała wynik negatywny. Cóż powiedzielibyście o krytyku literackim, który by nie odróżniał wiersza białego od rymowanego, nie wiedział co rym a rytm, lub który by elegię zaliczył do gatunku epickiego? Artykuł Dobrowolskiego, w tych ustępach, w których autor nie oddaje się swobodnej gawędzie historycznej, w tych rozdziałach, w których usiłuje powiedzieć coś sprawdzalnego, konkretnego o malarstwie — składa się z takich dowodów niewrażliwości malarzkiej.

Sa łania w artykule, które, zdaje się, świadczą o tym, że Dobrowolski wie o tej swojej niewrażliwości, że płynący z niej brak prawdziwej pasji dla malarstwa czyni go obojętnym i obcym temu co istotne, temu, co naprawdę dzieje się w malarstwie dzisiejszym. Przypuścić by można, że w gruncie rzeczy idzie mu nie o obraz, lecz o ten stołek stolarza i półmisek z sałatą. Zastrzeżenie się wprawdzie przeciw kopiowaniu, twierdzi, że wie, iż w malarstwie decydują wartości formalne. Realizm, który propaguje, jest też tak opakowany ostrożnymi zastrzeżeniami, że nie pozwala nawet na snucie domysłów, o co chodzi. Dobrowolski mówi raz o zwrocie do rzeczywistości obiektywnej, drugi raz, przypominając sobie zdanie Cézanne'a, o realizowaniu wrażenia... a więc o tym, co — zdawałoby się — zwalcza. Lecz istnieją daltoniści, którzy nie odróżniają czerwieni od zieleni — nigdy nie zaryzykują nazwania nieodróżnianej przez siebie barwy. Tysiącem zastrzeżeń będą obwarowywali swoje sądy, by nie zdradzić swego kalekta. Co jednak powiedzielibyśmy o nich, gdyby w końcu wyznali, że odróżnianie koloru czerwonego od zielonego godzi we wrodzone dyspozycje człowieka? A właśnie podobnym do takiego wyznaniem zdradza się w końcu Dobrowolski. Wyznaje: „Jak wspominałem już uprzednio, wiele dzieł, nawet krańcowych, o słabo zarysowanej warstwie realistycznej, bardzo mi się podoba; byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zawiesić w swoim pokoju jakiś obraz Braque'a lub Matisse'a, zwłaszcza zaś Bonnarda, którego kolorowe symfonie uwielbiam“. Czy możecie przypuścić, że człowiek uwielbiający jakieś malarstwo, może nie chcieć tego malarstwa? A tak właśnie ma się rzecz z rzekomym wielbicielem Bonnarda, propaguje bowiem nieokreślony bliżej realizm, o którym tyle tylko potrafi powiedzieć, że winien być zaprzeczeniem tego uwielbianego przez siebie malarstwa. Skąd ta sprzeczność, to niezrozumiałe okrucieństwo wobec siebie? Dobrowolski czyni to, jak zapewniam, z pobudek społecznych: „...bo, przypominamy, sztuka dzisiejsza godzi we wrodzone dyspozycje człowieka“. Zdanie to byłoby słuszne, gdyby Dobrowolski nie uogólniał, lecz stwierdził, że sztuka dzisiejsza godzi w jego wrodzone dyspozycje.

Jest to szczerze wyznanie krytyka: sztuka, którą on rzekomo uwielbia, istotnie godzi w jego wrodzone dyspozycje, w dyspozycje człowieka, który w istocie niczego w dzisiejszym malarstwie nie uwielbia, któremu w gruncie rzeczy wszystko obojętne. Cóż go więc interesuje? „Były fizyczne przedmioty“? Bo albo Dobrowolski uwielbia Bonnarda i jego troski są fałszywe i koniunkturalne, albo też w sztuce obchodzi go nie sztuka, lecz — co?

Znalazłem jednak w pracy Dobrowolskiego twierdzenie bliskie prawdy: „...historyczne postępowanie badawcze nie zawsze się pokrywa z myśleniem logicznym, bo z faktu, iż czegoś nie było, nie wynika przecież, że czegoś nie będzie“. Niestety „myślenie historyczne“ w rozumieniu Dobrowolskiego nie ma nic wspólnego z myśleniem dialektycznym, bo gdyby badał sztukę współczesną nie jako kustosza ogromnego muzeum przeszłości, w którym dowolnie porozwieszał epoki i style i przebiera w nich według swego widzi mi się — ale jako badacz mający szacunek dla faktów aktualnej rzeczywistości i umiejący znaleźć dla niej konieczne uwarunkowanie społeczne, umiejący odkryć linię rozwoju, wiodącą z przeszłości do tych faktów: gdyby przyjął taką postawę badawczą, nie wygłaszałby w pluralis maiestaticus — manifestów. Zabrałby się z należąca wobec faktów pokorą do wyjaśnienia, dlaczego właśnie dzisiejsze malarstwo jest takie, jakie jest.

Przed wszystkim nieprawdą jest, jakoby malarstwo dzisiejsze było hermetyczne i odosobnione od społeczeństwa. Nie było tak i nie jest zwłaszcza dziś na Zachodzie, gdzie



PIERRE BONNARD

Martwa natura

Matisse, Picasso i Bonnard ciągle są en vogue i budzą nieślabnące zainteresowanie od kilku dziesiątków lat nie tylko we Francji (ale i w Anglii i w Ameryce), nie jest też tak i u nas. Gdzież u nas tzw. przez Dobrowolskiego malarstwo „nieczytelne“ czy „niezrozumiałe“? Życzyć by raczej trzeba sztuce polskiej śmiałego nowatorstwa, idei, która by rozwinęła ją w kierunku czystego malarstwa, malarstwa wyzwolonego z tego wszystkiego, co jest serwitutem „bytu fizycznego przedmiotów“, a co obciąża i mąci malarzkie oko. Interesujące przykłady takiego impulsu plastycznego oglądać możemy na wystawie rysunków i obrazów młodej plastyki francuskiej.

Nieprawdą jest, że w Polsce rozumienie plastyki jest dzisiaj mniejsze niż dawniej. Przeciwnie: dopiero kampania formistów i kapistów po raz pierwszy w dziejach naszego malarstwa otworzyła szerszej publiczności oczy na to, co to jest malarstwo. Że to nie jest „Kościuszko pod Racławicami“ czy „Rejtan“ ani nie „Polonia“ czy „Wojna“ — lecz Michałowski, Kotsis, Gierzyński. Oczywiście, rozumienie sztuki nie jest zjawiskiem powszechnym, ale nawet ci, którzy tęsknią tylko do stwierdzenia „bytu fizycznych przedmiotów“ lub do „Polonii“ (wiązących, według nich, sztukę z życiem społecznym), nawet ci wypowiadają swoje marzenia z takimi zastrzeżeniami, że drugie zdanie zaprzeczca pierwszemu.

Tak właśnie robi Dobrowolski, którego realizm ma być zarazem „zwrotem do rzeczywistości obiektywnej“ i „realizowaniem wrażenia“. To pustosłowiecie nic oczywiście nie znaczy. Od czasów Lionarda nie było chyba poważnego kierunku w malarstwie, który by nie zwracał się do natury, mistrzyni mistrzów. Ale każdy z tych kierunków co innego w naturze odkrywał i jakoś określał, o co mu w malowaniu chodzi. Prawda, natura, rzeczywistość — to słowa powtarzające się często w ustach wielkich twórców; mieli oni do tego prawo, bo w dziełach swoich odkrywali nowe, konkretne prawdy malarzkie. Głosić ogólnikowo studium natury, nie formułując ani jednym słowem, o jakie prawdy plastyczne chodzi, jak je realizować w obrazie — znaczy tyle, co np. objawiać, iż człowiek mając dwoje nóg, może chodzić. Leonardo studiując naturę miał ściśle, matematycznie określone zagadnienia na oku i dał im wyraz w swoim malarstwie, impresjoniści rzuciwszy hasło wyjścia z pracowni, też głosili powrót do natury, ale wiedzieli, co to dla nich znaczyło: chcieli malować światło i powietrze, dokonywali eksperymentów optycznych. Dawni już nie czytalem wypowiedzi tak nieodpowiedzialnej jak artykuł Dobrowolskiego: nie mając nic do powiedzenia, obwieścił majestatycznie manifest — czego?

Współczesne malarstwo polskie jest w pełni rozkwitu. Siedem lat oderwania od tego, co się dzieje w sztuce Zachodu, nie pozwala na sąd twierdzący, można jednak zaryzykować przypuszczenie, że dzisiejsze malarstwo polskie zajmuje po malarstwie francuskim — prawdopodobnie jedno z pierwszych miejsc na świecie. Z wielkim szacunkiem, z zachwytem trzeba mówić o świetnych obrazach Eibischa, którego sztuka osiągnęła pełnię swego mistrzostwa, z wielkim szacunkiem, z podziwem trzeba mówić o wspaniałych, twórczych zdobyciach Zbigniewa Pronaszkę, który idzie od coraz znakomitszych dzieł do arcydzieł.

Dobrowolski, jak Chronos, dla którego epoki i tysiąclecia nie mają tajemnicy, obwieszcza, że dzisiejsze malarstwo francuskie „trzeba uznać konsekwentnie (sic) za zjawisko schyłkowe“. Historyk sztuki wyzwolony ze swej epoki szybuje tu tak wysoko, widzi proroczo poza swój czas i odkrywa prawdę (znów tak trudną do odkrycia jak ta, że człowiek ma dwie nogi), iż sztukę przeobrazi i upowszedni powstanie jednolitej kultury. Zanim to nastąpi godziłoby się raczej, tkwiąc skromnie w swoim czasie, zastanowić się, dlaczego to współczesne malarstwo nie zadowala niektórych ludzi?

Dobrowolski żąda, żeby przedmioty namalowane były „czytelne“. Znaczy to zapewne, żeby każdy widz za pierwszym rzutem oka poznał, jaki przedmiot obrał sobie malarz za model. Obraz nie powinien być tylko doskonałym obrazem, tj. rozwiązaniem pewnego zagadnienia formy i koloru, powinien też mieć treść pozamalarską, wyrażać np. jak u Goyi „patriotyzm i sarkazm“ i w ogóle „myśli, odczucia, przeżycia i doświadczenia“. Chodzi więc Dobrowolskiemu, jak wielu ludziom nieczytu, lub nie umiejącym się w pełni nasyć samym malarstwem, o tzw. temat literacki, anegdotę w malarstwie.

Słyszałem od pewnego malarza, który był świadkiem otwarcia jakiejś retrospektywnej wystawy, na którą posłano „Rejtana“ Matejki, taką relację. Grupa krytyków francuskich zatrzymuje się przed „Rejtanem“ i ostro krytykuje obraz: wady kompozycji, natłoczenie figur i przerysowanie dalszego planu, bałagan kolorystyczny itd. Omówiwszy dzieło Matejki fachowo, zabierają się do odejścia. Wtedy jeden z nich rzucił mimochodem pytanie: A co to za scena? „At — machnął ktoś ręką w odpowiedzi — awantura pijacka, gość zgrał się w karty i, niewypłacalny, rozpacza na oczach natarczywych partnerów“.

Anegdota ilustruje jaskrawo zmianę w sposobie patrzenia na obraz, jaka zaszła w ciągu ubiegłego wieku. I malarzy i widzów przestała interesować treść literacka, anegdotyczna obrazu. Fakt, że od czasów Delacroix nikt z wielkich malarzy nie podjął szerzej malarstwa tematowego jest znamienny. Współczesna próba, „Guernica“ Picassa nie obudziła tego malarstwa. Co więcej — można z góry — prawie na pewno twierdzić, nawet nie oglądawszy obrazu, że jeśli nosi tytuł „Książę Józef skacze do Elstery“, lub „Marszałek X Y odbiera defiladę na placu marszałka“, lub „Aniołowie w gościnie u Piasta i Rzepichy“ lub „Massynisa kusi Irydioną“ — mamy do czynienia z okazem pompierstwa. Malarze nie malują „kobył“ historycznych, unikają też malarstwa rodzajowego, na salonach malarzskich przeważają ilościowo martwe natury i pejzaże, portret jest w mniejszości.

Czym to tłumaczyć? Posłużę się porównaniem tego zjawiska (zdając sobie sprawę z nieściśłości analogii) z tym, co zaszło w dziedzinie odczuwania poezji. W drugiej połowie ubiegłego wieku mowa wiązana oczyściła się ostatecznie i wykrystalizowała spęcałnicę poczucie poetyckości, zacieśniła się do liryki. Któż dziś pisze epopeję lub powieść wierszem? Epikę zagarnęła mowa niewiązana, rymowana powieść byłaby anachronizmem trudnym do zniesienia. Obrazki rodzajowe, gawędy, sceny anegdotyczno-historyczne, rozprawki filozoficzne, które uprawiali wierszem jeszcze parnasiści (u nas Konopnicka i Asnyk) — wszystko to wydaje się nam dzisiaj sprzeczne z istotą poezji, odczuwamy je jako prozaiczny balast, zabijający poetyckość. Mowę wiążaną, poezję, utożsamiamy dzisiaj z liryką.

Podobna zmiana zaszła w patrzaniu na obraz. Dlaczego? Przecież, jak też stwierdza Dobrowolski, dawniej sztuka służyła „heterogenicznemu celom“: religijnym, politycznym itd. Dążyła do wiernego odbicia świata obiektywnego. Otóż to! Jedyną satysfakcją, dostępną każdemu człowiekowi, jaką dawało dzieło sztuki plastycznej — było zadowolenie, że rzecz namalowana na obrazie jest podobna do rzeczy-modela. Ta naiwna i prostacka radość z odwzorowania, z powtórzenia przedmiotu — oto, co cieszy ludzi pozbawionych wrażliwości plastycznej. W portrecie — interesuje ich tylko to, czy jest podobny. Zadowolona ich sama zręczność rzemieślnicza, zdolność „utrafienia“ osoby czy rzeczy „jak żywej“. To jest ta wspólna radość wszystkich, którzy podziwiali Tintoretta i Rubensa nie dla malarstwa, lecz dla teatru historycznego w obrazach, którzy żądali, żeby mistrz uwiecznił wiekopomne zdarzenia. A dziś? Dziś — „jak żywego“ przedstawia w portrecie fotografia, wiekopomne zdarzenie chwytą na taśmę film, celom politycznym i społecznym służy najszerzej sztuka najbardziej masowa — kinematografia. Jak

w literaturze narracja i opisowość stały się domeną prozy — tak w dziedzinie sztuk zwanych przez Dobrowolskiego z niemiecką „przedstawiającymi“ — malarstwo wyżyło się treści anegdotycznej na rzecz sztuki filmowej. Czy straciło przez to swą wartość społeczną, czy przestało „służyć“? Kształcąc zmysł plastyczny, odkrywając nowe formy — wpływa na kulturę oka wszystkich, a więc i reżyserów filmowych. Podobnie — wynalazki w dziedzinie mowy wiązanej wnioskują, rozprawdzone szeroko, w technikę prozy.

Znamieniem wysokiej kultury artystycznej jest dyskretna, nienarzucająca się, co Dobrowolski nazywa „myślą, uczuciem, przeżyciem“. Cechą wysokiej sztuki jest takie rozprawdzenie „przeżycia“ w organizmie dzieła, by nie rzucało się od razu w oczy przez jakiś jaskrawy szczegół, lecz by promieniowało pośrednio, odczuwalne w każdym punkcie zetknięcia z dziełem, jak ciepło. Poeta, który chcąc dać wyraz swojemu uczuciu patriotycznemu zaczyna wiersz od inwokacji „Polsko“, a kończy „płyn Wisło i leć orle biały“ — popelnia szantaż uczuciowy i jest złym lirycznym. Uczucie patriotyczne może krążyć w utworze pozornie dalekie od tematu ojczyzny, nie nazwane jaskrawo i sentymentalnie — i właśnie tak, pośrednio a nieodparcie, nasycać i przepelnić wyobraźnię i uczucie czytelnika. Podobnie w malarstwie — obojętny, zdawałoby się, pejzaż może wypowiadać barwami więcej polskości i więcej podniosłego i dramatycznego wzruszenia niż „Hołd pruski“. Gdy patrzę na martwe natury Cézanne'a doznaję wzruszeń równie podniosłych, harmonijnych i silnych, jak gdy wruszam się płynącym żywym winem kolorów w „Godach w Kanie“ Galilejskiej Veronese'a.

Czyż więc malarstwo dzisiejsze, unikając kompozycji figuralnych, jest przez to mniej ludzkie? Trzeba być wyzbytym wrażliwości już nie tylko plastycznej, ale też najogólniejszej, humanistycznej, ludzkiej — żeby w obrazach Matisse'a nie doznać wielorakich rodzajów radości, żeby w malarstwie Bonnarda nie wzruszył się subtelnymi tkliwościami, żeby nie przeżył razem z nim ekstatycznych dramatów i zwycięstw! Że nie wszyscy są zdolni do tych wzruszeń, że trzeba na to kultury estetycznej? Oczywiście! Ale nie ma innego sposobu doznania dzieła sztuki, jeśli się pragnie przeżyć sztukę, a nie fotoplastikon. Czyż radość z cudnego zestrojenia dwóch tonów barwnych nie jest radością ludzką? Powiem więcej: może najbardziej ludzką, prawdziwie humanistyczną: radością wzruszenia estetycznego, które wynika z miłości i tęsknoty do pięknego świata i tę miłość rodzi.

Pytałem jednego z naszych malarzy, dlaczego nie maluje ludzi, dlaczego ogranicza się do martwych natur i wnętrza? Odpowiedź była znamienna: „Wstydzi się od razu pokazywać człowieka, wydaje mi się to trywialne. Namalowany człowiek nie zawsze wyraża treść ludzką. Malarz przedstawiając człowieka, często ułatwia sobie, upraszcza i trywializuje to, co chciał o człowieku powiedzieć. Dla mnie przedmioty, z którymi się człowiek styka, wnętrza, w którym mieszka, mówią na obrazie więcej i czulej o człowieku, niż jego twarz i ręka. Bo we wnętrzu istnieje domyślny nie jeden tylko człowiek i nie w jednej tylko sytuacji, każdy przedmiot jest jeszcze ciepły od wielu jego dotknięć i dlatego może o nim powiedzieć więcej, niż jego portret“.

Zapewne, jest to skrajne wyznanie nadwyzczaj wrażliwego i subtelnego artysty, opinia, z którą można się nie zgodzić, ale z którą, jeśli się jest krytykiem żyjącym w swoim czasie a nie w przeszłości, trzeba się liczyć.

Julian Przyboś

NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH
UKAZAŁA SIĘ JUŻ KSIĄŻKA
O ŚWIATOWYM ROZGŁOSIE

ARKADY FIEDLER

DYWIZJON

303

STRON 152

12 ILUSTR

CENA

180

ZŁ

PIERWSZE WYDANIE POWOJENNE,
W KTÓRYM UJAWNIONE ZOSTAŁY
PRAWDZIWE NAZWISKA
BOHATERSKICH LOTNIKÓW

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„CZYTELNIK“

JERZY ANDRZEJEWSKI

Zagadnienie polskiego antysemityzmu

1

Mimo wojennych doświadczeń zagadnienie antysemityzmu w Polsce ciągle jest aktualne. Antysemityzm polski nie wypalił się w ruinach i pogorzeliśkach ghet. Śmierć kilku milionów wymordowanych Żydów nie okazała się grozą dość przerażającą, aby jej wymowa stała polskie nawyki myślowe i uczuciowe. Hitlerowska szkoła pogardy i nienawiści nie stała się ostrzeżeniem dość nagłym. Ciężko o tym mówić, lecz tak jest. Daremność tyłu ofiar, zniszczeń i cierpień, jakie w całej Europie, a w naszym kraju szczególnie w wielkich rozmiarach poniósł naród żydowski, staje się dla Polaka jedną z najbardziej gorzkich lekcji (nie jedyną niestety!), jakie wynieść mu trzeba z wojennych doświadczeń. O ileż spokojniej myśleć by można o milionach wymordowanych w obozach, więzieniach, w komorach gazowych i na ulicach miast, o tych wszystkich, którzy poginęli z bronią w ręku, gdyby śmierć ich stała się dla pozostałych przy życiu moralnym wstrząsem. Nie chodzi o spokój wobec zmarłych i pomordowanych. Nie ma tu spokoju. Ale ludzkość — użyjmy tego wielkiego słowa — w najokrutniejszych w dziejach świata walkach, walczyła przez sześć lat o wolność i sprawiedliwość, o godność człowieka i biada narodowi, które z tego doświadczenia nie potrafią wyciągnąć właściwych wniosków. Nienawiść i pogarda oraz rasowe uprzedzenia na pewno wnioskami takimi nie są.

O antysemityzmie dużo się u nas pisze, jeszcze więcej mówi. Jest to sprawa bolesna i wstydliva. Za granicą nie przysparza nam przyjaciół. W stosunkach wewnętrznych zadrażnia i jątrzy. Hańbi moralność narodu polskiego i rzuca mroczny cień na dojrzałość naszego doświadczenia społeczno-politycznego. Czy to na naszych sztandarach wypisywalismy: „Za naszą i waszą wolność“?

W prasie przejawy antysemityzmu włącza się zazwyczaj w pojęcie społecznej i politycznej reakcji. Żydzi polscy, zabierając w tych sprawach głos, wypowiadają się w sposób podobny. Miałem niedawno w rękach tekst memorandum, jakie Centralny Komitet Żydów Polskich skierował w imieniu całej ludności żydowskiej w Polsce do komisji anglo-amerykańskiej dla spraw Palestyny. W memorandum tym Centralny Komitet stwierdza, iż: „cała ludność żydowska bez względu na różnice polityczne łączy się w żądaniu o prawo wolnej i nieskrępowanej emigracji Żydów do Palestyny“. Z czterech przyczyn, które wyjaśniają to żądanie, trzy pierwsze odwołują się do racji psychologicznych przede wszystkim. Z trzech i pół milionów Żydów zamieszkałych w Polsce przed rokiem trzydziestym dziewięcym ocalało nie więcej niż sto tysięcy, a więc niecałe 3%. W Związku Radzieckim przebywa na razie około stu sześćdziesięciu tysięcy polskich Żydów. Ale i ci w kraju i tamci czekający na powrót są to ludzie pozbawieni przeważnie rodzin, niedobitki, którym trudno jest prowadzić dalej normalne życie tam, gdzie poginęli ich najbliżsi. W Polsce wszystko przypomina im tragedię polskiego żydostwa. Stąd zrozumiałe pragnienie, aby rozpocząć nowe życie w zupełnie innym otoczeniu, właśnie w Palestynie, gdzie wielu ocalałych z masakry Żydów posiada krewnych, którzy wyemigrowali z kraju jeszcze przed wojną.

Dopiero w punkcie ostatnim Centralny Komitet Żydów Polskich nawiązuje do obecnych stosunków w Polsce. Punkt ten tak brzmi w całości:

„Faktem niezaprzeczoną jest to, że w obecnej chwili w kraju zdarzają się jeszcze wypadki mordów, napady na działaczy demokratycznych, posterunki władz bezpieczeństwa i na ludność żydowską. Fakty te inspirowane są i dokonywane przez reakcyjne grupy podziemne, które znajdują się w stałym kontakcie z reakcyjnym generałem Andersem we Włoszech i z resztkami byłego londyńskiego Rządu Emigracyjnego. Ta sama zbrodnia ręką, która prowadzi działalność antysemicką, godzi również w działaczy partii demokratycznych, oficerów Wojska Polskiego itd. Władze państwowe i partie demokratyczne zwalczają antysemityzm, zakorzeniony jeszcze w okresie caratu i wzmocniony w czasie okupacji niemieckiej przez rasistowską propagandę hitlerowską. Dekret o Sądach Doraźnych przewiduje karę śmierci za uprawianie terroru z powodów narodowościowych, rasowych i religijnych, mimo to wypadki działalności antyżydowskiej mają jeszcze miejsce.

Podkreślamy z całym naciskiem jednak, że nie objawy antysemityzmu są główną przyczyną dążeń emigracyjnych, jak mylnie sądzą niektórzy za granicą. Jak to wykazaliśmy, podstawy są głębsze — obiektywne, ideowe i psychologiczne“.

Przytaczam specjalnie w całości ten wywód, ponieważ sens jego całkowicie się pokrywa z tym, co pisze się u nas o antysemityzmie. Reakcja! Niestety, w ciągu ostatniego roku pojęcie reakcji stało się workiem, w który nieraz zbyt pośpiesznie i nieopatrznie, a na pewno chaotycznie wrzuca się wszystkie braki i bolączki naszej obecnej rzeczywistości. Worek jest ogromny i pakowny, coś w rodzaju

unowocześnionego piekła dantejskiego. Anders sasiaduje w nim z metafizyką, a szabrownik wraz z NSZ-etowcem objają się w jego czeluściach o psychologizm powieściowy. Nazywać dzisiaj kogoś „reakcjonistą“ znaczy może tak wiele, iż czasem nie znaczy nic. Słowo „reakcja“, zachowując swój bojowy charakter skrót, ogólnika, w sensie myślowym uległo na przestrzeni ubiegłego roku dewaluacji niezwykle szybkiej, która o tyle nie jest dziwna i niespodziewana, iż ze strony propagandy oficjalnej uczyniono aż nadto wiele, aby pojęcie reakcji zakłamać i obrzydzić. Poza tym większość Polaków, zdradzając w tym podobieństwo do dzieci, woli nazywać rzeczy i zjawiska niż trudzić umysł ich analizą. Trudno się jednak ludzi, aby trywialna propaganda przyczyniła się mogła do rozjaśnienia wielu spraw splątanych i zawiłanych. Przeciwnie, obserwując nasze życie, coraz częściej się ma wrażenie, iż ze wszystkich stron — z lewa, z prawa, z góry i z dołu — na różne głosy i kładąc na te same słowa różne akcenty pokrzykuje wielu ludzi, lecz w ciemnościach, na oślep, a często wprost w atmosferze kłamstwa.

Sprawa antysemityzmu w Polsce wydaje się wśród wielu innych taką właśnie, którą zaciemnić raczej niż wyjaśnić może włączanie jej w obiegowe pojęcie. Antysemityzm jest reakcją? Dobrze! Należy z antysemityzmem walczyć? Oczywiście! W antysemityzmie ujawniają się najgorsze elementy faszyzmu? Powiedzmy! Lecz cóż z tego wynika? Znaczy to mniej więcej to samo, co stwierdzenie, iż „bomba atomowa jest niebezpieczeństwem dla ludzkości“, albo że „gruźlica jest chorobą, która w okrutny sposób dziesiątkuje ludność kraju“. Określając antysemityzm jako reakcję i faszyzm w niczym sprawy nie wyjaśniamy. Osiągamy tylko pewną kwalifikację społeczną, polityczną i moralną. Lecz czym jest polski antysemityzm? Skąd się wziął? W jaki sposób przejawia? Dlaczego ujawnia się u nas w takich formach, nie innych? Cały szereg pytań naglących, potrzebnych, koniecznych.

2

Sprawa polskiego antysemityzmu dręczy mnie nie od dzisiaj. Obracając się na parę lat przed wojną w środowisku młodych nacjonalistów miałem okazję poznać to zagadnienie od jego strony najbardziej zaognionej, brutalnej i bezwzględnej. Wyniosłem z tych lat doświadczenie przerstające swoim zasięgiem problem polsko-żydowskiego współżycia. Zrozumiałem wówczas, iż pogarda nie tylko każe wziąć w obronę człowieka niesprawiedliwie pogardzanego, lecz sięgnąć głębiej, w sam układ społecznych i gospodarczych stosunków, ponieważ wszystkie najlepsze uczucia ludzkie liłoci, współczucia i braterstwa pozostają jałowe, jeśli nie wyniknie z nich wysiłek stworzenia takich form życia i ugruntowania takich pojęć, które by zapewniały jednostce prawo do sprawiedliwości, wolności i szacunku.

W czasie wojny stykałem się z wieloma Żydami. Znałem jednostki niezwykle wartościowe i ludzkie szmaty. Spotykałem Polaków, którzy z narażeniem życia własnego i swoich bliskich przechowywali u siebie Żydów. Nigdy im nie odmawiając pomocy, czynili to w sposób najbardziej ludzki. Spotykałem się także z kanalami i z tchórzami, z oportunistami i z przemykaniem oczu na śmierć jeszcze cudzą, lecz która każdego z nas o każdej godzinie mogła wyrwać z szeregu żyjących. W czasie pierwszej likwidacji ghetta, jesienią roku czterdziestego drugiego, mieszkaliśmy w najbliższym sąsiedztwie murów. Te dnie i noce, wypełnione odgłosami salw karabinowych i krótkimi seriami cekaemów, były najcięższe z całej okupacji. Goryczą, wstydem bezsilności i zwątpieniem w sens Polski i sens Polaków wyrosły ponad nie tylko Wielkanoc roku następnego i powstanie warszawskie.

Dla wszystkich Polaków uczciwych los ginących Żydów musiał być szczególnie bolesny, umierali bowiem niewinnie ludzie, którym naród nasz nie miał prawa spojrzeć w oczy śmiało i z całkowicie czystym sumieniem. Polkom i Polakom ginącym za wolność naród polski mógł w oczy patrzeć śmiało. Żydom walczącym w płonącym ghetcie — nie!

A przecież Żydzi chwycili za broń w obronę swojej godności. Słusznie się teraz podkreśla ze strony pozostałych przy życiu członków żydowskiego oporu, iż powstanie w warszawskim ghetcie nie było aktem rozpaczcy. Walczyła garstka bojowców, z których każdy prawie przy rozległych kontaktach z organizacjami polskimi mógł z ghetta uciec kanałami i cało unieść swoje życie. Jeśli pozostali wśród tłumu bezbronnego rodaków, to po to, aby zaprotestować przeciw barbarzyństwu i przemocy. Zwycięstwo militarne w ogóle nie wchodziło w rachubę. Powstanie upadło, ponieważ upaść musiało. Ci z Żydów, którzy nie zginęli w walkach, poszli na zagładę do komór gazowych Treblinki, Majdanka i Oświęcimia. Teren warszawskiego ghetta został zrównany z ziemią i zmieniony w wymarłą pustynię. A jednak ten zryw po-

wstańczy bojowców żydowskich stał się od pierwszego wystrzału poza murami wielkim zwycięstwem Żydów. W obliczu nieuchronnego zniszczenia i śmierci, z głębi najdotkliwszego poniżenia, najsamotniejsi ze wszystkich walczących w owych latach, walczyli Żydzi o te same prawdy i wartości, o które w ciągu sześciu lat wojny walczyli na wszystkich frontach i ziemiach inne narody. O wolność, sprawiedliwość, o szacunek dla człowieka, o lepszy porządek świata społeczny i polityczny. Nie o co innego walczyli Polacy.

Niedawno minęła trzecia rocznica powstania Żydów w Warszawie. Gdy dzisiaj posepną i wzniósł tręść tych dni wywołujemy na wolnej już ziemi i gdy cienie zmarłych Żydów, stojąc obok cieni zmarłych Polaków, świadczą o braterstwie broni i wspólności prawdy, za które warto umierać, dzisiaj, gdy po tylu cierpieniach, po latach tak niewymownie ciężkich i pełnych goryczy działa jeszcze w naszym kraju, wbrew rozsądkowi i wbrew elementarnej ludzkiej godności, propaganda antysemicka — jak głos trzeba natężyć i jakich słów trzeba użyć, aby zatargać sumieniami, których sześć lat wojny nie wyrwało z odrętwienia? Gdy ghetto warszawskie walczyło, nie mogliśmy, Polacy, mieć czystych sumień. Minęły trzy lata i rocznica ghetta nie może się dla nas niestety stać tylko hołdem pamięci. Ta rocznica żydowskiego bohaterstwa wciąż krwawi. Wyrzuty sumienia? O ileż łatwiej posiadać wycyzłony i czujny instykt moralny niż wyprowadzać z niego konsekwencje do ostatka! Tylko czynny mając moc uzdrawiania. Tylko wówczas złożylibyśmy warszawskiemu ghettu należny hołd, gdybyśmy bronili namiętnie własnej godności i walczyli z tym wszystkim, co w zakresie naszego stosunku do Żydów rzuca mroczny cień na naszą uczciwość, na naszą moralność, na nasze poczucie wolności i ludzkiej solidarności.

3

Polaków, którzy by po wszystkim co się stało, jawnie głosili antysemityzm, jest z pewnością niewielu. Jeszcze mniej jest takich, którzy hańbiąc dobre imię Polski dokonywają na Żydach skrytobójczych mordów. Publiczna opinia kraju potępia ich i na pewno szczerze. Opinia polska jest przeciw antysemityzmowi, jeśli pod tą postawą rozumie hitlerowskie metody zwalczania Żydów. Czy znaczy to, że istotnie nie ma w Polsce antysemityzmu, a jego nieliczne jaskrawe przejawy to rzeczywiście tylko drobne i zdegenerowane plamy na zdrowej całości? Lekcja historii nie poszła zatem nadaremnie?

Chciałbym bardzo móc szczerze odpowiedzieć: tak! antysemityzm w Polsce wygasa, naród polski rozumiał, co powinien być rozumieć. Niestety, po wielu latach rozmyślań nad tą sprawą, jak otwarta rana ciągle na naszym organizmie ropiejąca, patrząc na to wszystko, co się w Polsce działo przed wojną, w czasie wojny i co się dzieje teraz, słuchając ludzi najroźniejszych środowisk i umysłowych poziomów, obserwując ich odruchy i reakcje często zupełnie nieświadome, śledząc jak pewne słowa i gesty automatycznie z nich wynikają, nie umiem i nie mogę dojść do przekonania innego, jak to, iż naród polski we wszystkich swoich warstwach i poprzez przekrój intelektualny od najwyższego aż po najniższy był i po wojnie nadal pozostał nastawiony antysemicko. Ta powszechna u nas niechęć do narodu żydowskiego przybiera najrozmaitsze formy i akcenty: od przyznanego nieomal i serdecznego na pozór podśmiewania się z Żydów, żartu i kpiny, przez tzw. rzeczową krytykę Żydów odzęgującą się jednocześnie od wszelkich posądzeń o antysemityzm aż po jawne i brutalne sformułowanie niechęci i wrogości. To ostatnie stanowisko spotykane jest obecnie najrzadziej, ponieważ mimo wszystko nawet zagorzali w Polsce antysemici, jeśli nie utracili resztek elementarnej przyzwoitości, wstydy są trochę swoich odczuć. Mając w świeżej pamięci lata wojny, kępując się o Żydach i zagadnieniu żydowskim wyrażać z taką swobodą, z jaką nie wahał się tego czynić przed rokiem trzydziestym dziewięcym. Wszelkie rozmowy o Żydach bywają teraz u nas dość zawile i ciemne, pełne niedomówień i zahamowań, ciężką nad nimi cieniem Majdanka i Treblinki. Lecz niech wśród jakiegokolwiek towarzystwa padnie dowcip o Żydach, żart, niech zabrzmiał intonacja głosu naśladowająca żydowski akcent — cóż za ożywienie roztrąci najnudniejszą atmosferę!

Przypomina mi się takie niedawne zdarzenie. Znajdowałem się w licznym towarzystwie ludzi, z których na pewno żaden nie mógł być posądzony ani o nastawienie reakcyjne, ani o świadomy antysemityzm. Towarzystwo złożone było z samych postępowców, ludzi lewicowy i reform. Intelektualiści, pisarze. Pora była dość późna, wszyscy mieli poza sobą wielogodzinne uroczystości znakomitego aktora, więc nastrój przy kolacji panował średni, żeby nie powiedzieć — nudnawy. Gościem naszym (działo się to w Krakowie) był pewien nasz znajomy jeszcze sprzed wojny, obecnie wysoki urzędnik w sprawach kul-

tury. Ów dygnitarz odznaczał się przed wojną niezwykle darem gawędziarskim i jako aktor, konferansjer i parodysta był bardzo w Polsce znany i popularny. Okazało się, że tych swoich dawnych umiejętności nie zgubił wśród nowych tytułów, bo gdy nam w pewnej chwili opowiedział kilka znakomitych kawałów żydowskich, podkreślając je mimiką i żargonowym akcentem, intelektualiści ożywił się, jak pod prysnkiem. Nudnie się zapowiadający wieczór upłynął bardzo wesoło i beztrudno na słuchaniu dygnitarza, który w szafowaniu anegdot jest niezwykle hojny.

Powie ktoś: dobrze! lecz gdzie tu antysemityzm? Wspomniani intelektualiści śmiełoby się na pewno równie wesoło z dobrze opowiedzianych anegdot o Szkotach, Rosjanach, Polakach czy Anglikach. Oczywiście, śmiełoby się niewątpliwie, a kto wie, czy z kawałów o własnych rodakach, gdyby były udane, nie śmiełoby się najgłośniej. W tym jednak rzecz, iż Polacy inaczej się śmieją z przysłowiowego skapstwa Szkotów, a inaczej ze szmoncesów o Rappaporcie.

Zastanawiałem się nieraz nad tym, co to jest właściwie polski antysemityzm? Z jakich elementów rozumowych i uczuciowych złożona jest ta szczególna niechęć Polaków do Żydów? Celowo używam tu określenia „niechęć“, ponieważ nie wydaje mi się, aby należało sięgnąć po nateżenie silniejsze: nienawiść. Kokolwiek się powie o wybuchowości i temperamencie natury polskiej, uczucia Polaków bywają raczej letnie i umiarkowane niż gwałtowne i namiętne. U nas się nie kocha i nie nienawidzi. Polacy lubią, albo nie lubią. Niczemu się nie oddają całkowicie. Jeśli lubią mieć pomiędzy sobą wielkich ludzi, to równocześnie lubią czynić wszystko, aby ich ośmieszyć i obniżyć, a gdy nie lubią Żydów, to lubią u nich kupować. Są natomiast Polacy urodzonymi konserwatystami, a ponieważ niechętnie myślą, więc w swoich nałogach „lubienia“ i „nie lubienia“ bywają bardzo uparci. Mówi się o Anglikach, że żyją tradycją. Polacy są tradycjonalistami, niestety w ujemnym znaczeniu tego pojęcia. Gdy historia narzuca Polakom konieczność zrewidowania dotychczasowych pojęć i norm obyczajowo-społecznych, jakąż górą ciemności, oburzeń i zakłamań uderza w śmiały!

Obserwując najprzeróżniejsze reakcje Polaków w stosunku do Żydów i przez stopniowe ich selekcjonowanie dążąc do wyodrębnienia z całej mnogości urazów, zadrażnień, pretensji, krytycznych ocen itp., jakichś podstaw zasadniczych, odnalazłem by ich można dwie. Jedna zdaje się przeczyć drugiej, obie jednak znajdują pełne wyjaśnienie w naszej historii i specyficznym w naszym kraju układzie polsko-żydowskich stosunków w sferze społecznej, gospodarczej i obyczajowej. Antysemityzm nie został u nas, jak głosi memorandum Centralnego Komitetu Żydów Polskich, „zakorzeniony w okresie caratu“. Siega tradycją głębiej w historię, wyrósł bowiem wśród układów socjalnych wcześniejszych od tych, które przyniósł wiek XIX.

Jedna grupa niechętnych odruchów Polaków w stosunku do Żydów skupia się wyraźnie dokoła polskiego poczucia wyższości. Natomiast poczucie niższości Polaków wobec Żydów równie wyraźnie wydaje się jądrem innej kategorii rozumowań i odczuwań. W rezultacie każdy przejaw antysemityzmu w Polsce da się sprowadzić do jednej z dwóch wymienionych grup, najczęściej zresztą reakcje Polaków na sprawę żydowską są wynikiem pomieszania i wzajemnego przenikania się obu odczuć. Takie na przykład zdanie charakterystyczne i na różne sposoby odmieniane, iż „mentalność żydowska jest zdegenerowana, zagraża przeto kulturze polskiej i dlatego należy ją tępić“, jakże jest ze strony polskiej typowym przejawem zarówno poczucia wyższości, jak i niższości. Pogarda dla żydowskiej umysłowości, przestrach i niepokój ludzi zagrożonych niebezpieczną w ich pojęciu siłą. Podobnych splątani i powikłań znaleźć by można bardzo wiele. Polskość i w tej sprawie, jak w wielu innych, wtrąca nas w wir sprzeczności, w krag, w którym niecierpliwie i nierozważnie głosy bez zastanowienia krzyczą jednocześnie: tak! i nie!

Nie przemawia do mnie symbolika Wyspiańskiego. Zawsze mnie jednak ogarnia gorzki i dręczący smutek, gdy myślę o zakończeniu „Wesela“. Przewalili się jedna wojna światowa, druga stokrotnie potworniejsza wstrząsnęła światem, koło historii nie raz się obróciło wśród najmniejszych ludzkich cierpień, krzywd i ofiar, padały trony, ustroje, prawdy i złudne nadzieje, działo się wszystko, co umysł człowieka zaledwie objąć może, narody spływały hańbą i krwią, rozkwitały bohaterstwami i staczały się w nędzę i upodlenie, lecz w Polsce po raz drugi ocalonej od niewoli, wśród tylu nowych nadziei i pragnień, niepokojów i udręk, na tej ziemi jak żadna inna zniszczonej i pełnej cieni zmarłych — Chochoł nadal przygrywa umysłom.

(Dokończenie w najbliższym numerze)

Jerzy Andrzejewski

TADEUSZ PEIPER

W związku z „Tartuffem” w Krakowie

W recenzji, którą opublikowałem w „Naprzedzie” o spektaklu teatru im. Słowackiego, znakomitym pod wielu względami, zaznaczyłem kilka zarzutów i jedną pochwałę, których z powodu braku miejsca nie było mi dane uzasadnić; czynię to tutaj.

SMIECH MOLIERA

Sam Molier grał Orgona, Tartuffe'a powierzył komikowi. Ówczesny spektakl był zapewne naładowany komizmem. Miało to przyczynę, które dzisiejszego teatru nie obowiązują.

Jako dyrektor teatru i jako aktor i jako pisarz, stał Molier wobec przeszkód, które hamowały realizowanie jego nowych idei artystycznych. Świat, który przynosił w swych zdobywczych rękach, prawda życiowa, którą chciał rozpalić w swej literaturze, nie mieścił się w żadnej z dwu form literackich, które znał ówczesny teatr, nie mieściły się ani w tragedii, ani w komedii. Były poważne sprawy życiowe, były poważne sprawy ówczesności, których tragedia w ogóle wzięła w siebie nie mogła, a które w komedii musiałyby całkowicie zmienić swój ton, więc wypaczyć swą naturę. Stał Molier wobec tyranii form, która zganiała mu jego zdobywcę.

Z tej sytuacji nie było wyjścia, które mogłoby go zadowolić. Jedyne, co mu pozostawało, to próby przemocnego wciskania w komedię tego, co z kawałów otaczającego świata wciśnięć w nią pragnął. Wymagało to uwolnienia jej od obowiązku ciągłego śmieszenia, wymagało podniesienia jej powagi. Gdy w przedmowie do „Tartuffe'a” podkreśla, że komedia grecka i francuska wywodzą się z obrzędów religijnych, czyż to wskazywanie na tak poważny ich rodowód nie mówi wiele? Gdyby nawet rozszerzał tu pojęcie komedii na utwór teatralny w ogóle, czyż i to nie miałyby swej wymowy? W tejsze przedmowie jest miejsce, w którym broni praw komedii do malowania namiętności uczciwych, takich, które rozczulają ludzkie dusze; przecie to jest znaczące rozszerzenie komediowej pojemności. W innym miejscu definiuje komedię jako utwór, który ukazuje ludzkie braki, ludzkie wady, i który ukazuje je dla „nauk przyjemnych”. Przyjemnych! Bardzo interesujące jest tutaj to słowo. Dając definicję komedii, a więc wtedy, gdy ma dać jak najcisłejsze jej określenie, nie mówi o jej obowiązku wyśmiewania, wyszydzenia ludzi, a tylko o obowiązku uprzyjemniania nauk, jakie z ich wad dają się wyciągnąć.

Ale niejedno zdaje się wskazywać na to, że w owej epoce nie dopuszczano we Francji myśli, aby ludzkie wady czy ludzkie zło mogły być ukazywane w teatrze inaczej jak tylko w postaci śmieszności. Może stąd pochodzi, że w teatrze francuskim z jakie dwa stulecia role łajdaków, oszustów, kłamców oddawano komikom. I może z tej samej przyczyny Molier czuł się zmuszony czynić śmiesznymi wszelkie łajdactwa, głupoty, ułomności, wady i wszelkie niezgodności między psychicznym wnętrzem człowieka a jego ukazywaniem się na zewnątrz. Z tego, w czym my nieraz widzimy bóle człowieka lub bólczki życia, on musiał wydobywać śmieszność. Nie jest wykluczone, że pociski, jakie ścigał na siebie „Tartuffem”, pochodziły nie stąd, że świętoszka ośmieszył, lecz że go za mało ośmieszył.

Teatr dzisiejszy nie jest spętany ograniczeniami epoki Moliera, może więc sobie pozwolić na traktowanie ludzi „Tartuffe'a” zgodne z istotą ich charakterów i może wydobywać te charaktery środkami, jakie uzna za stosowne. Nie musi śmieszyć, może śmieszyć. Nawet jeśli uderzy w tony powagi, może zachować naturalne rezerwy komizmu. Obowiązuje tylko jednolitość ogólnej koncepcji. Tego w krakowskim spektaklu nie było. Komizm rozplaszowano tak dowolnie, że z komizmu Orgona uczyniono puszcę w pustyni.

USTERKI PRZEKŁADU

Postawiłem p. Jaworskiemu zarzut, że komizmem swym nie obejmuje intelektualnej niemocy Orgona wobec adorowanego Tartuffe'a. Tu wskażę na niezależne od niego trudności, jakie napotkał, na przeszkody, jakimi były dla niego usterki przekładu.

Kiedy pierwszy raz ma Orgon określić Tartuffe'a, słowa Boya-Zeleńskiego każą mu mówić: **Bo też to człowiek... człowiek... no, człowiek i kwita**. Po francusku zdanie to brzmi: **C'est un homme... qui... ha! un homme... un homme enfin**. Próbujmy przełożyć to wierniej: **„Jest to człowiek... ha!... który... no, człowiek i kwita**. Chodzi o to, że Orgon stara się dać określenie Tartuffe'a, szuka tego określenia, już wypowiada zaimkę względny, po którym określenie to ma nastąpić, ale dalej nie odpowiedniego znaleźć nie może, rezygnuje z określenia i tylko powtarza słowo, które miał określić. Tak to samym biegiem darte-go zdania charakteryzuje Molier uczucie, z jakim Orgon myśli o adorowanym przez siebie człowieku, a zarazem niemoc ujęcia tego, co w nim adoruje. W przekładzie Boya zdanie Moliera traci wiele ze swej zawartości. A zdanie to należy do najważniejszych, najistotniejszych,

do tych, które najgłębiej otwierają dwa głównych ludzi utworu.

Albo inne z tego samego zwoju psychiki. Aby wyprowadzić Orgona z błędu co do osoby adorowanego nieuczciwca, pragnie żona dać mu możliwość podsłuchania rozmowy, jaką tamten będzie z nią prowadził, i zapewniwszy męża, że dzięki takiemu ukryciu pozna prawdę, zapytuje go, co wówczas powie. Na to on: **„Wówczas powiem, że... jeśli... Nic nie powiem wcale”**. Po francusku: **„En ce cas je dirais que... Je ne dirai rien**. Próbujmy przełożyć wierniej: **„Wówczas... wówczas powiem że... Nic nie powiem wcale”**. Przekład Boya osłabia komizm intelektualności Orgona, bo nie pozwala urwanemu zdaniu połączyć się z następnym w zabawny związek myślowy (powiem, że nic nie powiem), a nadto nie pozwala urwanemu zdaniu zakończyć się słowem jednozłogowym, które samym sobą, a także rytmem, jaki tworzy ze słowami następnymi, daje aktorowi możliwość ośmieszenia umysłowego kłopotu — pysznym głosem i ruchem.

W najbardziej istotnych i w najbardziej subtelnych miejscach bywa Boy tłumaczem niewiernym.

DWA SŁOWA MARIANNY

Poświęciłem radosne brawo jednemu uśmieškowi p. Próchnickiej. Takie i tak zaadresowane, wymaga ono uzasadnienia.

Marianna kocha Walerego, Walery kocha Mariannę, ale ojciec Marianny zdecydował, że ma poślubić Tartuffe'a. Przychodzi do niej Walery po wyjaśnienia, i na pytanie, co ma ona zamiar teraz uczynić, otrzymuje odpowiedź: nie wiem. Tę odpowiedź interpretuje Boy-Zeleński dwojako: albo jest to dąs Marianny, którą obraziło samo pytanie, albo nie wie ona jeszcze, jakiego sposobu użyje, aby woli ojca nie spełnić. Otóż nie, odpowiedź Marianny mieści w sobie co innego, a choć jest króciutka, ma niemałe znaczenie.

Tuż po jej przeczytaniu spontanicznie narzuca się przypuszczenie, że jest ona dla Marianny pozorem. Marianna poprzednio wyraziła wyznania swej służebnicy-towarzyszce, że serce swe chowa dla Walerego, że raczej umrze, niżby miała spełnić wolę ojca, więc na pytanie Walerego, co ma zamiar zrobić, powinna przede wszystkim podać mu do wiadomości swą decyzję podstawową. Ale ona czyni inaczej, jej „nie wiem” ma — niezgodnie z tym, co myśli w rzeczywistości — znaczyć „w ogóle nie wiem”, „nie wiem, co zrobić”. Celem tego kłamstwa ma być wybadanie, jak na to zareaguje tamten, czy się rozgniewa, czy przyjmie rzecz obojętnie, jaki stopień osiągnie jego gniew czy obojętność, a to wszystko ma jej dać możliwość lepszego poznania jego uczuć. Tak właśnie — niezależnie od komentarzy — pojęła rzecz p. Próchnicka, o czym świadczył zmyślny uśmieszek, w jaki zaopatrzyła swą odpowiedź.



KAZIMIERZ SZUBERT (Świętoszek) i STANISŁAW JAWORSKI (Orgon)

Spontaniczną interpretację potwierdza cały przebieg nieporozumienia, jakie powstaje z odpowiedzi Marianny, i związek tego nieporozumienia z całością utworu. Wprawdzie scenę tę nazywa Boy wtrąconą i twierdzi, że mogłaby znaleźć się w każdej innej sztuce, więc odmawia jej ścisłego związku z resztą utworu ale jest to pogląd powierzchowny. Związek z resztą utworu jest. Taki:

Zwada, jaka powstaje między Marianną a Walerym, opiera się od pierwszej chwili aż do końcowego wyjaśnienia na miłosnych kłamstewkach obojga. Walery, zaraz gdy staje przed Marianną, już w pierwszych słowach rzuca kłamstewko ironiczne, nazywając

wiadomość o bolesnej decyzji ojcowskiej... piękną. Odtąd niemal bez przerwy mówi co innego niż myśli, każde niemal jego odezwanie się przedstawia fałszywie jego rzeczywiste uczucia; gdy przykrą odpowiedź Marianny nazywa uczciwą, gdy radzi jej wyjść za Tartuffe'a, gdy wybór taki nazywa chwalebny, gdy zapowiada, że zwróci swe ognie ku innej kobiecie, mówi kłamstewka niezgodne z jego niezmienną miłością do Marianny, mówi je z gniewu, z żalu, z chęci wybadania kochanej kobiety. Podobnie Marianna w każde swe odezwanie się wkłada słowa niezgodne z jej myślami; udaje, że swą decyzję uzależnia od rady Walerego, udaje, że spełni jego radę poślubienia Tartuffe'a, ironicznie kłamie, gdy nazywa szlachetnym uczucie, z którego on wywodzi zamiar zwrócenia się ku innej. Wszystko to ściśle wiąże tę scenę z zasadniczą sprawą utworu, ze sprawą obłudy, która przecie też posługuje się rozmaitymi niezgodnościami między słowem a myślą. Czuję Molier, że tartuffizm wymaga odgraniczenia go od zjawisk podobnych i tu właśnie — inaczej niż w przemówieniach Kleonta — rozgraniczenie przeprowadza. Bo nikt nie będzie uważał miłosnych kłamstewek Marianny i Walerego za niemoralne, za godne potępienia. Z tego punktu widzenia reprezentują one grupę kłamstw niewinnych, co do których pragnie Molier oświadczyć, że pozostawia je poza zasięgiem swych ataków na obłudę. Czyni przy tym liczne rozróżnienia. Najważniejsze z nich: sąd opinii; gdy Walery mówi, że zapomniany kochanek powinien udawać zapomnienie, i gdy twierdzi, że takie udawanie może liczyć na aprobatę wszystkich, odwołuje się właśnie do sądu opinii, pozwalającą odróżnić kłamstwa dozwolone od niedozwolonych. Zwierza się Molier w przedmowie, że aż dwa akty poświęcił na przygotowanie zjawienia się Tartuffe'a, aby widz nie miał wątpliwości co do gatunku jego obłudy; temu przygotowaniu służy także scena kłamstewek miłosnych, wchodząca w skład aktu drugiego. Odpowiednio ujrzana, jest ona jeszcze jedną oznaką ścisłości, z jaką Molier buduje swe dzieło.

PIERWSZE WEJŚCIE TARTUFFE'A

Przez całe dwa akty czekamy na pojawienie się Tartuffe'a. Zaostrzona ciekawość podszeptuje nam pytania: jak będzie wyglądał? jakie będą jego pierwsze słowa? jakie będą jego pierwsze kroki, jego pierwsze ruchy rąk? W wyznaniach o swym utworze pisze Molier, że starał się, aby widz od pierwszej chwili rozpoznał Tartuffe'a. Tę swą intencję zaznacza dwa razy, zaznacza ją w przedmowie, zaznacza ją w piśmie do króla. Zależy mu, aby zwrócono na nią uwagę. Powiada też, że dla zrealizowania swej intencji zużył całe dwa akty. Ale uczynił więcej jeszcze niż sam powiada. Oto pierwsze wejście obłudnika uło-



KAZIMIERZ SZUBERT w roli Świętoszka

zauważa, że sam nie jest. W ujęciu Szuberta pierwsze wejście Tartuffe'a pozostało niedopełnione.

JAK TARTUFFE PRZYZNAJE SIĘ DO WINY

Zubożył też Szubert przelotne przyznanie się obłudnika do winy.

Gdy syn wyjawia Orgonowi uwodzicielskie słowa, jakimi Elmirę kuśił Tartuffe, ten początkowo przyznaje się do winy — szczerze! Czuje się zdemaskowany i jego szczerze jest szczerością zdemaskowanego. W tę szczerotę przymusową wcieka niespokojnymi strugami bezradność, słabość, ból, trwoga. Gdy potem widzi, że Orgon bierze jego przyznanie się za odmianę samobiczowania się, za akt pokory człowieka niewinnego, zdumiewa go to w pierwszej chwili a zarazem raduje i postanawia wykorzystać niezachwiane zaufanie oszukiwanego, czyni ze swego przyznawania się metody, zaczyna kajać się nieszczerze. Ale jego niepewność trwa. Ciągłe jeszcze lęka się, że synowi uda się wyprowadzić ojca z błędu. Rozwija grę wielokierunkową. Tego, który go zdemaskował, stara się szczerością nastroić litościwie, kłęką przed nim z pokorą grzesznika; do tego, który demaskatorowi nie wierzy, mówi dwuznacznie, mówi tak, jakby był winny i niewinny, by w razie jego przejrzenia usprawiedliwić się szczerością winowajcy, a w razie utrzymywania się jego zaufania utrzymać się na pozycji niewinnego; kłękając przed nim, kłęką inaczej niż przed tamtym. Gdy z ufnym ciągle Orgonem pozostaje sam na sam, bez świadków swego przestępstwa, stawia swą sprawę już w nowy sposób, ale i teraz nie jest jeszcze pewien, czy niebezpieczeństwo minęło; lęka się, że jutro może Orgon uwierzyć w to, w co dzisiaj nie wierzy.

Wielość, jaką ma w sobie obłudnik przyznający się do winy, wielość odkrytą przez Moliera imponującą, zubożył Szubert, przypisując tu Tartuffe'owi tę samą obłudę i tę samą wiarę w jej niezawodną skuteczność, jakie poznaliśmy w nim poprzednio.

OBRONA ZAKOŃCZENIA

Utarł się u nas pogląd, że sztuczne jest zakończenie aktu ostatniego, że królewski nakaz aresztowania Tartuffe'a da się przyjąć jako komplement autora dla protegującego go króla, ale nie może być uznany za naturalne rozwiązanie zasadniczej sprawy utworu. Znać na tym poglądzie wpływy tych krytyków francuskich, którzy zarzucali Molierowi, że jego zakończenie, które nagle zmienia gruntownie los Tartuffe'a i Orgona, przychodzi z zewnątrz, spoza osób działających w utworze; znać też wpływy innych krytyków, którzy kwestionowali królewskie unieważnienie kontraktu dąrowizny dokonanej przez Orgona na rzecz Tartuffe'a, którzy krytykowali to unieważnienie jako niezgodne z kompetencjami króla, jako tak dowolne, że nie wykonałby go nawet absolutystyczny Ludwik XIV.

Zaryzykuję twierdzenie odwrotne i to krańcowo odwrotne. Według mnie zakończenie utworu ma w sobie nie tylko naturalność, nie tylko organiczność wiązania, ale jest genialnym dopełnieniem zasadniczej sprawy.

Nie pozwólmy pochlebstwem wypowiedianym na cześć króla odwieść naszej uwagi od faktu, że te pochlebstwa wykorzystuje Molier dla podania o w y c h szczegółów o Tartuffie, dla niezwykle ważnego obudowania jego osobowości. Jeszcze w ostatnich chwilach utworu, jeszcze w obrębie finału, pasja Moliera uzupełnia nienawistną postać. I uzupełnia nie byle czym. Dowiadujemy się, że zanim Tartuffe przybył do domu Orgona, dopuścił się

* W związku z drugą możliwością samowolnie zmienia tłumacz oryginał i każe Mariannie odpowiedzieć: „Jeszcze nie wiem”.

już wielu przestępstw, że dopuścił się ich pod innym nazwiskiem i że był o nich poinformowany — król. Jakież to ten dwunazwiskowy hipokryta mógł popełnić przestępstwa, że informowano o nich aż króla? Niejeden szczególnie wskazuje, że były wśród nich także przestępstwa natury politycznej. Pochlebstwa, holdownictwo składane u stóp króla przez oficera gwardii, zawierają jedno, które zwraca uwagę: król — słyszymy — umie bronić się przeciw siłom bardziej delikatnym niż te, jakie zastawiał Tartuffe. Więc ten dwunazwiskowiec rozsnuwał jakieś sznurki sidiel antykrólewskich, brał udział w jakichś akcjach skierowanych przeciw królowi. Ba, oficer gwardii królewskiej, który tę wiadomość podaje, nazywa Tartuffe'a zdrajcą, a Orgon podejmuje tę nazwę i na pochlebczą tyradę oficera reaguje już tylko wykrzykiem: „Toś ty zdrajca!” Wprawdzie określeniem tym zaczyna Molier piętnować Tartuffe'a już na początku ostatniego aktu, ale już wtedy nie jest ono pozbawione podłoża politycznego, bo już wtedy zaczyna wiazać się ze zdrajcą hipokryty, popełnioną w związku z kasetką. Tu jednak, w przemówieniu oficera gwardii królewskiej, potwierdza się ono jako prawda obiektywna i ostateczna.

O, Molier przygotował ten końcowy rys! Przygotował go pierwszymi zaraz słowami, jakie Tartuffe wypowiada! Tuż po swym pierwszym wejściu na scenę występuje on jako opiekun więźniów. Tak zaznaczone są jego kontakty polityczne. A jak bardzo zależało Molierowi na podkreśleniu tego opiekowania się właśnie więźniami, to można wyczuć — czytając tekst francuski — ze skomplikowania składni zdaniowej mającej umożliwić zrymowanie słowa „prisonnier”.

Zakończenie ostatniego aktu rzuca też nowe światło na sprawę zagadkowej kasetki, przewijającą się przez cały ten akt. Kasetka zawiera ważną tajemnicę natury politycznej, zawiera papiery tak niebezpieczne, że zależy od nich życie i mienie jej właściciela. Zmuszony on był ratować się ucieczką z powodu sprzeniewierzenia się obowiązkowi poddanego, z powodu dopuszczenia się zbrodni stanu. Przed ucieczką w sekrecie złożył kasetkę u Orgona, który wprawdzie swego czasu buntom antykrólewskim przeciwstawiał się z wielką dla króla korzyścią, ale teraz — zapewne pod wpływem Tartuffe'a — przyszedł z pomocą człowiekowi, który umiał wzbudzić w nim współczucie. Przewidując jednak, z powodu kasetki, możliwość niebezpiecznego dla siebie śledztwa, oddał ją Orgonowi Tartuffe'owi na przechowanie. Gdy Tartuffe'a przejrzał i pojął, że może on tajemnicę wykorzystać,

wpada w rozpacz, która przewyższa wszystko, co przecierpał dotąd. Bardziej niż niebezpieczeństwo niewierności żony, bardziej niż niebezpieczeństwo utraty domu i majątku, boli go niebezpieczeństwo ujawnienia się kasetkowej tajemnicy. Tę to tajemnicę zanosi Tartuffe do króla. Zdradza Orgona. Ale nie tylko jego, także właściciela kasetki, mimo że ten pochodzi z tego samego obozu politycznego co on, który przecie — jak dowiadujemy się z zakończenia — przed przybyciem do domu Orgona brał udział w akcjach antykrólewskich. Dlatego to w ciągu ostatniego aktu — z podziwu godną ściśłością — określamy jest Tartuffe jako zdrajca zawsze w związku z tajemnicą kasetkową lub w związku z postępkami, w których występuje ona jako składnik. Dzięki więc zakończeniu to, co Tartuffe czyni z kasetką, otrzymuje światło, w którym psychika obłudnika-szalbierza ukazuje nowe zakamarki.

Zdradzając tych, którzy — jak on sam — przeciw królowi knują, czyni to Tartuffe w celu łatwiejszego zawiadnięcia majątkiem Orgona. Motywem jest interes osobisty. Ale on ten interes maskuje. Jak poprzednio własne cele niemoralne zakrywał powoływaniem się na korzyści Nieba tak teraz interes osobisty zakrywa powoływaniem się na interes króla, mimo że sam króla zdradza. Mało tego. Obowiązek wobec króla nazywa teraz obłudnie pierwszym i świętym swoim obowiązkiem, czym stawia go przed obowiązkiem wobec Boga, dotąd wysuwany na pierwsze miejsce. Zmienia więc idee zależnie od osobistych celów i każdą wypowiedź z tą samą obłudą.

Oczywiście można by postawić pytanie, dlaczego Molier zarysował stronę polityczną osobowości Tartuffe'a kreskami tak cienkimi, że aż ledwie dostrzegalnymi. Jedną z przyczyn tkwi zapewne w charakterze Frondy, do której odnoszą się antykrólewskie i prokrólewskie akcje wspomniane w utworze, w jej charakterze politycznie skomplikowanym i może krępującym Moliera. Inną z przyczyn jest słuszną decyzją utrzymania postaci w rysach najbardziej istotnych, decyzją powiedzenia tylko tego, co jest niezbędnie potrzebne, by w obłudnika, już poprzednio poddanego analogie, wtopić jeszcze obłudę polityczną. Do szczególnie oszczędnego dawkowania polityki zmuszało zakończenie. Oficer gwardii królewskiej, przez którego poznajemy motywy wyroku króla, nie może znać ich dokładnie, wyjaśnia je po swojemu, w kategoriach niskiego urzędnika, który admiruje swego władcę; przynosi on od króla tylko tyle, ile trzeba, aby wyjaśnić Orgonowi to co się stało. Także artystyczna natura ostatniego aktu zmuszała

do pobieżnego traktowania polityki; cały ten akt, nadając sytuacjom świetną zmienność, rozwija treść w tempie błyskawicy i grzmotów, i finałowe ciemności rozprószyć może tylko miganiem błyskawicy.

Politycznym obudowaniem Tartuffe'a wspańnię rozszerzył Molier przedmiot swego badania. O wiele bardziej rozległe stają się ciemne ziemie i więcej niż dwunazwiskowym staje się człowiek, który na nich działa. Otrzymujemy Tartuffe'a zwielokrotnionego. W jednym Tartuffie otrzymujemy kilku Tartuffe'ów. Już nawet nie możemy mówić o jego obłudzie, musimy mówić o jego obłudach. Z gruba mówiąc, ma ich w sobie trzy. Naprzód poznaliśmy w nim obłudę obyczajową (stosunek do pani domu), potem obłudę chciwości (stosunek do majątku pana domu), w końcu poznajemy obłudę polityczną. Najlepiej poznaliśmy pierwszą, bo z łatwością dała się pomieścić w treściach fabularnych ówczesnego teatru. Gdyby jednak Molier ograniczył się był tylko do niej, jego wystąpienie nie miałoby dostatecznej siły. Nie potępiamy w Tartuffie niezgodności między jego życiem a głoszonymi ideałami religijnymi; rozterki człowieka między nakazami religii a pokusami życia, pozory, do których one zmuszają, prowadzą do przeżytych nazbyt ludzkich, aby miały one wymagać potępienia. Potępiamy w Tartuffie metodyczne nadużywanie religii dla zakrycia osobistych celów życiowych, które on sam uważa za niemoralne. Wszystko, co służy uwypukleniu tego szalbierczego stosunku do religii, potęguję jasność utworu. Takimi uwypuklającymi czynnikami są dwie inne obłudy wprowadzone w utwór. Dzięki nim szalbiercze świętoszkostwo Tartuffe'a odgranicza się wyraziście nie tylko od pobożności, nawet od tego typu świętoszkostwa, który można by nazwać niewinnym. Uwzględnienie trzech tartuffowskich obłud ukazuje nawet bezzasadność, jednostronność, jakimi grzeszy tytuł „Świętoszek” nadawany polskim przekładom niezgodnie z intencją Moliera, który w żadnym z trzech tytułów, jakie utworowi nadawał, nie umieścił świętoszka.

Zwrócenie uwagi na zdrady polityczne Tartuffe'a pozwala przyznać zakończeniu utworu pełną naturalność. Gdy Tartuffe poniósł do króla kasetkową tajemnicę, odkryto w nim poszukiwanego przestępcę i padł nakaz natychmiastowego aresztowania. I jedno i drugie jest całkowicie naturalne. Motywy energicznego rozkazu były głównie natury politycznej, o czym w danej chwili świadczy jeszcze uwzględnienie politycznych usług oddanych niegdyś królowi przez Orgona. Przy uwzględnieniu politycznych składników utworu cał-

kowicie traci sens zarzut, jakoby nagłe wyratowanie Orgona przez nagłe zaaresztowanie Tartuffe'a było sztuczne. Nawet kwesnia królewskiego unieważnienia darowizny, jakiej Orgon dokonał na rzecz Tartuffe'a, przedstawia się teraz inaczej. Prawda, że w sprawach cywilnych unieważnienie kontraktu nie należy do kompetencji króla, ale gdy przyjmujemy, że Tartuffe jest aresztowany także jako przestępca polityczny, który brał udział w poważnych akcjach antykrólewskich, wówczas nie trudno przyjąć, że prócz kary więzienia spada na niego także kara konfiskaty mienia, a więc i mienia dochodzonego kontraktem. Król nie mógł postąpić inaczej niż postąpił. I musiał działać tak szybko jak działał. Cały przebieg zdarzeń musiał być taki, jaki był.

Jeśli uwzględnić to, co zakończenie wnosi samo przez się, i to, czym ono cały utwór obuduje, i to, jaką ono jest niespodzianką myślową i artystyczną, i jeszcze to, jak wielu rozmyślanom otwiera pole... wówczas trzeba będzie przyznać, że jest ono rekordem genialności Moliera.

Niesłuszny zarzut sztuczności mógł hamować Frycza przy reżyserowaniu ostatniego aktu. Skoro zakończenie uznane zostanie za sztuczne, można nie nadać mu teatralnej siły, a to musi mieć skutki także dla traktowania całego aktu. W tej części spektaklu nie dał Frycz figurom scenicznych należytego stopnia wzruszeń, nie wzburzył salonu. Sprawy wnoszą się na wysoki i coraz wyższy stopień ważności życiowej, ale nie bierze ich w siebie powietrze sceny, figury reagują na nie z niewiększą siłą niż na zdarzenia poprzednie. Gdyby reżyser ufał autorowi, rzecz poprowadziłby inaczej. W miarę posuwania się ostatniego aktu rozwijałyby temat narastającej rozpacz, salon przesyłałby ruchy wzmagającego się niepokoju, głosy bólu i gniewu. W chwili, kiedy następuje aresztowanie Tartuffe'a, gruntownie zmieniałaby się atmosfera, zebrani w salonie ludzie, uważając interwencję króla za zupełnie naturalną, słuchaliby oficera gwardii królewskiej z najwyższym napięciem przyjełby wiadomości o nieznanym szczegółach życia Tartuffe'a z oznakami najwyższego zainteresowania, a odpowiadanie go do więzienia zakropkowałyby radosnymi oklaskami. Właśnie do zakończenia trzeba przystosować sceniczne traktowanie całego ostatniego aktu, trzeba całemu temu aktowi kazać silnie współbrzmieć z jego kolejnymi treściami, trzeba go kształtować od momentu do momentu w pełnym przekonaniu o naturalności każdego z nich.

Tadeusz Peiper

rysował ADAM MARCZYŃSKI

FRANCISZEK GIL

Z rajzerami na etapach PUKu

Komuż poświęcić te wspomnienia, jak nie młodemu rajzerom, których spotkaliśmy w „dziewiątku”, od których nie dowiedzieliśmy się nigdy, skąd przyjechali i dokąd jadą i z którymi chodziliśmy razem po urąg. Mieli świerzb, ale my całowaliśmy ich twarze, daliśmy wtedy przy pociągu adres najstarszemu, Ilnickiemu, prosiłiśmy, żeby do nas napisali, żeby wstąpili. Mamy z Janką wobec nich serdeczne długie. Cóż z tego! Kiedy wybrali już wszystkie zapomogi, kiedy obszeli już wszystkie komitety i dostali ostatnią już w tym mieście urąg, spalili stare koszule, wspólną, wystrzępioną kołdrę, i pojechali w świat. Ślad po nich zaginął. Może są gdzieś na dalekich etapach Puru, może szukają jeszcze rodzin, a może znowu co zbroili i przykneją ich milicja. O, to byli morowi chłopcy! Zapisywali się po kolei na audyencję do prezydenta miasta, oblecili za zapomogą nawet paru „katabasów”. Rano, z pociągu, szli jeszcze po czarną kawę i dwadzieścia pięć deka chleba na dół do kuchni, ale w południe nie patrzyli się już na etapowe żarcie. Mieli bułki, wędliny, ciastka i angielskie papierosy, kombinowali nad różnymi łachami, które wziąć na siebie, a które sprzedać. Sobie zostawiali zawsze rzeczy gorsze: „bez płaszcza więcej zarobię” — udowadniał ten średni, blondynek.

Nie wierzę w to, żeby już pracowali, żeby znaleźli „tako ochronkę”, w której „dawaliby dobrze jeść”, albo, żeby „poszli na szkołę”. Strasznie polscy byli ci chłopcy.

W Purach tej zimy było ciepło, palono węglem, nie było się co spieszyc. Kładliśmy w piec Łryłę za bryłę i wieczór w wieczór pytałiśmy ich od rozpalonych drzwiczek: — „wiecznie tak będziecie jeździć i po komitetach chodzić? co będzie, jak tak wszyscy zaczyna robić...” Próbowaliśmy tłumaczyć: nie lepiej pracować, uczyć się na coś, mówiliśmy — porządne życie, kraj... Wykręcali się. Przyrzekali, że już skończyła, że nie będą, że tylko... ale w oczach mieli inny, wspaniały świat. Zapalali się do dalekich miast, spirali o porty i linie kolejowe i, jakby nie wierząc, nie chcąc dopuścić do tego, żeby jakiś inny rajzer więcej „zwidził” — jednako zazdrośnie odmawiali sobie w kłótniach widzianych stołec, jak przebytych obozów. „Pojedziemy jeszcze tylko trochę na amerykańską stronę — tam żeby zwidzić — a potem pojedziemy na szkołę. W Bytomiu dobrze ochronka. Jakby my

znaleźli tako, toby my poszli”. Poszliby... tylko, że poczawszy od kierownika etapu, a skończywszy na najprostszym, naiwnym przesiedleńcu z pobliskiej wioski, który w drodze do Koźła przypadkiem na jedną noc trafił na etap i nie kasał wcale repatrianckiego życia — nie było tu takiego głupiego, który by im wierzył. Grali tylko w karty i namawiali się dalej na drogę — gdzie dobry Pur.

Ale i my nie byliśmy bez winy! I my chodziliśmy po zapomogę. Opowiem, jak to było.

Po trzech miesiącach wędrowki wróciliśmy do Puru. Taki wstyd! Zejść z transportu na własną rękę, pokazywać, że nie potrzebujemy się żadnej opieki, żadnej łaski, a potem wrócić na prycze do baraków. Stara z etapu, która zaraz po nas wiodowała się do „dziewiątki” z ostatniego w tym roku transportu lwowskiego, kiwała tylko głową: „Dobrze mój syn pisał: kto sobie umie radę dać, temu w Polsce bardzo dobrze, a kto nie...” Ale co jej! Betów przywiozła pełno i siedząc wysoko na obłożonych materacami skrzyniach mogła litować się nad nami, łączącymi po komitetach.

Nie umieliśmy sobie dać rady, czy nie chcieliśmy, dość, że wróciliśmy do Puru. Dobry Pur! Nie mogliśmy zostać w tym samym mieście, nie mieliśmy tu już z czego żyć, a na drogę dalej nie było pieniędzy. Opuściliśmy się strasznie. Było tak zimno, że nawet na „gieldzie” nie chciało się stać. Janka zieleńiała pod murkiem, na którym wisiła jej sukienki. Nikt nie kupował. Ale wśród ludzi, którzy „opuszczają się” na świecie, my byliśmy jednak zawsze tymi, co mieli jeszcze jedną szansę, jeszcze jedno prawo: Pur i Zachód. Karta ewakuacyjna nie zawiodła nas. Co chciece? Dwa śledzie, chleb, zupa i bilety na drogę. Mieliśmy dość życia na własną rękę. Bilety do miast, w których miał nas przyjąć ostatni Pur, od których postanowiliśmy już zacząć pracować. Chcieliśmy jeszcze tylko zanocować, schować się na parę godzin do jakiejś cieplej izby, bo zimno na tej prowincji zdrowo ścigało nas ulicami.

Wtedy przyjechali ci chłopcy.

Na etapach pierwsza rzecz po przestąpieniu progu — zbliżyć się do ludzi, przełamać samotność. Bez tego niczym jest łóżko i dach nad głową. Ileż to razy człowiek lasi się i wygłupia, żeby tylko nie być osobno wśród tych, z którymi je i śpi! Etapowe izby mają kąty rodzinne, etapowe wieczory swoje wizyty to-

warzyskie u barłogów. Dobrze takim, którzy już pierwszego wieczoru mają u kogo zostawić pakunki, pożyczyc szczotkę, czy garnuszek.

Ale chłopcy nie potrzebowali ani szczotki, ani dobrego słowa, nie szukali żadnego stróża swego majątku. Przyszli w tę samą noc, co my, tylko późno, bo ujrzelśmy ich dopiero rano. Nie dostrzegaliśmy jeszcze wówczas wśród nich dwóch grup, dwóch kompanii. Nie rozróżnialiśmy stron świata, z których przybyli. Najwyższy i najstarszy, „fasonowo” trzymający się młodzieńcem w mundurze zde-mobilizowanego żołnierza z amerykańskiej strefy od świtu objął władztwo nad całą piątką. Jedną rękę miał bezwładną, jak gdyby sparaliżowaną. Jeszcze leżąc, przywoływał do siebie na zmianę — per pikolo — najczulszej dwóch może czternastoletnich chłopców, z wystrzyżonymi kiedyś palkami, podsuwał papierosa z niemym gestem „ognia”, to znów wysyłał na dół po kawę. Na pół tylko rozebrany leżał z młodszym od siebie, ale starszym od tamtych chłopców, perkatym, niebieskokookim blondynkiem, w szerokim, pełnym słomy korycie, które nie wiadomo skąd wstarczyli w nocy w tamten, podmakający od wodociągu, jedyny wolny róg sali. Blondynek leżał w nogach. Spał bez koszuli. Spod strzępów wyblakłej, czerwonej kołdry wystawały nagie, białe plecy, nagie ramiona. Od razu, od rana, od pierwszych nieufnych spojrzeń i obojętnych gestów nie trudno było poznać, że pieją na wspólne życie z nami, a i mieszkają niewiele potrzebują. Bez czułości i łagodności — we wszystkich ruchach formowali się jak „paczka”, jak drużyna. Widać było, że dla reszty „dziewiątki”, tej rozsiadłej w betach, mają jakąś pogardę jak dla zwierząt innego powolniejszego gatunku, którym dodatkowo wyrosły piętwy. Mijali nas bez uśmiechu, bez najmniejszej chęci wdawania się z kimkolwiek, dla wszystkich mieli jedno jedyne, trochę pogardliwe, trochę nieufne spojrzenie cwaniaka. Przez nich poczuliśmy się niewyrażnie i głupio i dopiero w następnych miastach dane nam było pojąć, że bronili swej równorzędnej prawdy życiowej. Bo sprawy ludzkie na etapach Puru nie mają końca ani początku. Raz w życiu macie do czynienia z tymi ludźmi, z ich szczęściem i nieszczęściem, raz jedyni na pryczach. Czuje to dobrze każdy rajzer, każdy urzędnik, każda pomywaczka etapu i nikt się tam wiele

nie roztkliwia. Ludzie są tu samotni, jak rozlepione przez nich kartki, że znajdują się tu i tu, że jadą tam i tam, że szukają synów, córek i ojców. Tylko repatrianci, którzy raz jeden w życiu przechodzą przez etap, tylko oni przywiązują się do przygodnych sąsiadów, tylko oni czytają te kartki. Nieostrożni, sami sobie gotują nowe rozstania, nowe rozłąki. O ileż roztropniejsi, o ileż bardziej doświadczeni, niż my starzy, byli ci chłopcy! Nie pragnęli niczyjej łaski, nie szukali na te pięć dni niczyjego serca. Nie tracili czasu. Szybko ubrali się i poszli na miasto.

Byli to pierwszy raz, ale od razu trafili do Czerwonego Krzyża, do komitetów wojewódzkich, powiatowych i miejskich — „tam po drugiej stronie, tam też dostali”. Zapisali się do prezydenta miasta, chcieli z nim mówić, choć nie budowali w tym mieście nawet takiego tymczasowego życia, jak reszta lokatorów „dziewiątki”, nawet takiej etapowej marnizny. Przez pięć dni wracali z miasta bogaci i dumni, z cukierką i z restauracją, przynosili jeszcze coś ze sobą, śmiało mogli nami gardzić — takimi niezdarnymi „émokami”.

Rzecz działa się na dalekim etapie Puru, na wschodzie. Czegoż więcej potrzeba człowiekowi, który stracił rodzinę, ponad to, co daje Pur: chleb i dach nad głową. Dwa razy zmieniała się ta grupa. Dni i ludzie płyną na etapie według innej miary czasoprzestrzennej. To tak, jakby każdy człowiek przechodził tędy ze swoim własnym czasem, w swojej własnej przestrzeni. Nigdy do końca nie można mówić o tych samych ludziach w tym samym czasie. Najpierw było ich pięciu: żołnierz, blondynek w różowym swetrze, dwa Józki „z Zoleszczyk” (nikt nie trudił się tu odróżnianiem imion tych małych i tak wołano razem Józka i Pietrka) i ten ostatni z oberwanym kaszkiem, który zaraz po południu przejął w karty pierwszą forszę z Czerwonego Krzyża, pokłócił się, pobił i pojechał. Pod wieczór trzeciego dnia na etap przyszedł Ilnicki, w szyneli, zdartych butach i prawie husyckim kaszkieciu. Rękę miał czerwone, rozdrapanie. „Ony mo świrzb, panie” — mruknął starszy Józek „z Zoleszczyk”. Wolna była tylko jedna, wygnieciona jak niecki, wielkooka siatka, w kącie koło nas. Ilnicki milczał jeszcze bardziej niż tamci, nie wtracał się do niczego, krokiem nie zapuszczał się poza swój kąt w sali. Popołudniami spał

nakryty szynem i nie zbliżał się nawet do chłopców. Żadna nasza karta ewakuacyjna nie była tak zbita pieczętkami, jak jego, i nikt z nas nie mógł się poszczycić taką mapą noclegów, etapów, zapomog i stacji. Począwszy od Nowego Zagórza, pytał o transporty, które na wiosnę miały wyjechać z Sambora z jego rodziną, chodził po zapomogi i tak żył. Od etapu do etapu. Po sześciu miesiącach pasję szukania zastąpiła tęsknota, pewność kroczenia po śladach — wiara, że gdzieś się odnajdą. Na etapach tej zimy było ciepło, nie było się co spieszyć.

Połowa siedzących tu tygodniami ludzi przedostawała się do krewnych, szukała rodzin, połowa odbiła się w którejś powrotnej fali osadnictwa aż tu pod wschodnią ścianę. Może tam nie umiał im nikt pomóc, ani związać z nowymi warunkami, może tu pod cichszą, wschodnią ścianą, bliższą wspomianej ziemi, czuli się lepiej. Przeciagali tużymy, niektórzy nie dostawali już nawet teupy ani śniadania, ale z izby nikt nie miał sumienia wyrzucić ich na mróz. Coś gdzieś szturkali na mieście, albo tu w Purze, i żyli. Jedynie chłopcy co do godziny dotrzymywali pięciu dni etapowych. Oni przede wszystkim — obozowcy! — szukali po kraju rodzin, ale nie chcieli, żeby ktokolwiek próbował zastąpić im tę rodzinę, unikali rozmów z władzą etapową. Szóstego dnia jechali dalej.

Z dnia na dzień coraz bardziej przywiązywaliśmy się do nich. Nikt tak nie umiał opowiadać o unrze, o obozach, o rozmowach z „katabasami“, z prezydentami miast, którzy na audiencjach próbowali ich nawracać. Ale prawdziwe swoje życie zdradzali nam powoli, czasem jak gdyby tylko udało się nam odłupać jakąś drzazgę, jakąś drobną część włóczęgowskiej skorupy, natrafić na ślad matki, domu, szkoły. Niedługo potem przestraszeni, że za wiele wygadali, widząc, że nie zgodzi się to z tym, co muszą innym mówić, przychodzili, zapewniali, że to nieprawda, co powiedzieli, łaskili się, żeby nie wierzyć. Jeszcze coś niecoś ufali Krysi, tej nierozstającej się z „jo-jo“ blondynecze z pak, ze środka, która spała z siostrą jak na sarkofagu. Jej nawet pokazali wszystkie fotografie i dokumenty. Chodzili po mieście parami — blondynek z „żołnierzem“ jedna, Józki z „Zoleszczyk“ — druga, a po południu obliczali na łózkach, kto więcej wytrzymał, u kogo jeszcze nie byli.

Cierpliwym Pur! Ile takich etapów mogli jeszcze objechać, z ilu jeszcze miast wziąć pieniądze? Tego dnia wrócili pijani i sałę nurtowała jakaś głucha nienawiść za ich pijaństwo, za ich życie. Nawet stare baby jątrzyły po kątach, że „porządny, to nie dają“... Blondynek oparty o sarkofag, nachylony do Krysi, przerwał i tak mętne opowiadanie, podszedł do łóżka po ciastka, rozwinął papier. Krysią odsunęła się, bo chwiał się już na nogach, przeszła na drugą stronę sarkofagu. Ciastka mignęły na rozkołysanej blacie i placnęły stłamszone na kocu. Blondynek nie widział już ani Krysi, ani nas, ani nikogo, „zesłabiło“ go. Rymnął na ukos na łóżko i zaczął rzygać na kółdę i na podłogę. Krysią milcząc odniosła zduszone kremówki pod piec na łóżko ich sąsiadów, ale kiedy sala napadła na chłopca, ona jedyna stanęła blisko, blisko przy samym łóżku blondynka, jakby czekając, co będzie, jakby jeszcze nie odważając się, ale już gotując się do jakiejś kobiecej obrony, gdyby go chcieli bić. Czekała, aż ludzie napyskują się, aż blondynkowi zrobi się lepiej. Zawsze żartował „głód, chłód i do domu daleko“, opowiadał o niedogotowanych psach w obozie, o Anglikach i wyprawach na niemieckie wsie, a teraz leżał słaby, bezbronny i opuszczony przez swego wojskowego towarzysza, który upił go w restauracji jeszcze w południe, wziął jego i swoje matki i poszedł.

Mogliśmy wierzyć ich różnym, co dzień ciekawszym i innym opowiadaniom albo nie, jedno było tu stałe i niefałszowane w sprzecznych obrazach ich rzadkich wyznań: obozy, fronty, etapy. W miarę upewniania się co do ich nieskazitelnie dobrych serc na oślep ulegaliśmy ich życiu i ich światom. My jedni nie umieliśmy się na nich oburzać. Ale dziwnym, niezbadanym prawem serca obraz innego życia tych chłopców właśnie wtedy zaczął się nam narzucać coraz mocniej i im bliżej żyliśmy się z nimi, tym mniej mogliśmy się oprzeć, by na tym etapie nie próbować im powiedzieć, że to się kiedyś musi skończyć, że muszą czymś być, bo przecież wicznie tak nie będą żyć.

Jakże marna jednak była ta nasza pedagogia: — ta praca i ten porządny człowiek — jak piękne ich życie, jak lekkie i wspaniałe zarobki w Purach i komitetach! Jakaż inna od tej, którą proponowaliśmy im, była ich amerykańska przyszłość! My proponowaliśmy im Polskę, szkołę i pracę. Oni nam amerykańską stronę. Czekolady ile kto chce, papierosów, nic nie robić, jeździć, dziewczęta... Któż mógł się oprzeć!

Polska? Jakiej Polski mieli czas się nauczyć? Jakąż oni Polskę znali? Przecież w życiu swoim zaledwie zdołali jej dotknąć! Matka? Matkę zabił Niemcy. Nie mieli więcej ja! osiem lat, kiedy ich w nocy na mrozie wysiedlili i spod Częstochowy poszli do obozu do rajchu. Praca? Przecież żadnej innej,

prócz katorżniczej pracy w niemieckich lagrach nie poznali. A teraz myśmy ich namawiali do pracy, mówiliśmy im — Polska. Śmiać się mogli tylko z nas, starych frajerów. Oni w obozie dobrze już poznali jak żyć. Leżeli koło nas i teraz, kiedy już mieli forszę, z dumą częstowali Jankę papierosami. Pamiętali, jak opalali ją na początku, jak ona jedna z całej sali dawała im skręcić. Sami jeszcze nie byli pewni, czy kryć się przed kierownikiem etapu z tym paleniem, czy nie, ale ilekroć kupili paczkę angielskich, wyciągali ją z jakąś śmieszna powagą, nalegali jak dzieci w strachu, żeby im nie odmówiła: — „niech pani zapali, niech pani weźmie“; — nie opuszczali chudych, szarych rąk, aż wzięła.

Cóż robić! Prawdę powiedziawszy, to oni mieli na nas większy wpływ, niż my na nich. Byliśmy jak zaprzędani, bo dopiero wśród nich na etapie poczuliśmy się stokrotnie mniej bezdomni, niż u wszystkich krewnych i znajomych — a nikt nam nie pomagał. Pur wie, że za pięć dni i tak pojedą dalej. Cóż można zrobić z człowiekiem w ciągu pięciu dni? Komitety? O, oni woleli komitety. Z komitetami było jeszcze najłatwiej. Płaciły. Nie nudziły, nie „pieprzyły głodnych kawałków do głowy“, jak my — niby ferajna, niby kamraci, a gderacze. Jeden raz tylko mieli za targ, jeden raz tylko chciano ich tu wychować. Pur nie dał im ostatniej zapomogi do ręki. Oddano ją etapowemu felczerowi. Jako małoletni, mieli być z niej dożywiani. Chcieli mieć pieniądze, chcieli już jechać, bali się tu dłużej siedzieć, a felczer spokojnie codziennie wydzielal im za ich forszę serki, grahamki, smalec.

„Co zrobisz rajzer?“ — droczył się ze starszym służbowym. — „Za co pojedziesz?“

Józek ze złością odwrócił się od niego i tak, żeby nie słyszał, gniewnie warknął do nas: — „jak jo onygo kierownika dupne cygłom przez łeb“...

Co wieczór kto inny przyzywał ich na przesłuchanie pod piecem.

— Rajzer, skąd ty?

— „Jo z Zoleszczyk“.

— A jaki tam kościół?

— „Wysoki, taki“ — pokazywał za plecami pytającego drugi Józek, ten prawdziwy spod Zaleszczyk.

— A jaka stacja?

— „Wielka, taka“ — ręce Piotra znów układały się w znaki, w ściany i dachy. Wtedy zamykało się tego pokazującego na korytarzu, ale pytany nie bał się i tego — bujał co bądź i śmiał się nam prosto w oczy. Wszyscy w sali wiedzieli, że on skądinąd, a on, że jak co wieczór, pytają ich tylko tak, że nikt im tu nie zaszkodzi. To oni chodzili w Zabrze „na rynek“, potem byli w Bytomiu w „ochronce“, potem w Szczecinie i w Warszawie,

ten stanął jak wryty. Uciekli. Znow był razem. Chodzili do sklepu po kartofle, kazali sobie naważyć, a potem od drzwi krzyczeli, że nie mają pieniędzy i wyrwali. Na etapie po trzech dniach umieli już wieczorem otworzyć kuchnię, kręcili się koło magazynu. Szli wziąć drugi raz obiad, ale nie zabierali nic więcej i „na rynek“ chodzili tylko wtedy, kiedy nie mieli już co jeść, jak już musieli. Nie chcieli smytrać. Najbardziej lubili zapomogi. Obaż razem byli jeszcze jak dzieci, otwarte i niechytne. Po krótkim czasie sala wiedziała, że po wyjściu z obozu, gdzieś na którymś etapie podarli swoje stare dokumenty, zgłosili



się do Puru, że zgubili i tu wystawili sobie nowe, zwykłe papierki „na zapodanie uchodźcy“. „Postanowili my razem już tak rajzować i przepisali my się, że my som z jednej wsi, żeby nos nie czypiali“. Któż mógł ich za to prowadzić na milicję!

Świat ma cztery strony, ale Pur ma tylko dwie. Przyjazd i wyjazd, w środku etap. Dobrze przeciągnęliśmy poza pięć dni. Ludzie jechali do Koźła, do Zielonej Góry na osadnictwo, w łańcuckie po rodziny i po konie, nocowali, ruszali dalej. Trzeba było jechać. Krysi już nie było. Dwa dni wstecz — jak to dawno! — przyszli rano robotnicy, rozebrali jej sarkofag i załadowali na auto. Żołnierz wrócił jednak po blondynka i pogodzeni dawno już także wynieśli się na inny etap. Zostaliśmy sami, z Ilnickim i z Józkami Józki,



ich na samo Boże Narodzenie zamknęła w Przemysłu milicja, kiedy chcieli jechać do Lwowa. Raz opowiadali, że byli wywiezieni przez Rosjan, potem przez Niemców, kręcili, kłócili się i bili, ale się kochali. Milicja oddała ich w Przemysłu do różnych zakładów Król, chudy Pietrek, ten prawdziwy Józek „z Zoleszczyk“, uciekł pierwszy. Chodził wszędzie, szukał. W końcu pod wieczór — „patrzy przez jeden mur, a tam on chodzi — Józek“ (jak on wtedy ślicznie pokazał oczyma Józka spod Częstochowy! Niewielu ludziom na świecie dane jest ujrzyć jak włóczęga zastępuje włóczędze matkę). „Józek!“ — krzyknął. Tam-

które dotąd starały się trzymać na uboczu i spełniać jak najmniej posług dla „żołnierza“, paroma zawołaniami — „rajzer, chodź tu“ — niepostrzeżenie przeszły pod komendę, co najmniej o dziesięć lat starszego Ilnickiego. Z początku gościwały jeszcze po szturchańcu w gołe łepety, ale wkrótce Ilnicki niespodziewanie polubił ich, zaczął razem z nimi wychodzić na korytarz, a potem dalej, już na miasto po unrę i do komitetów po zapomogi. Nie przynosili tego jednak jak tamci na etap, nie pokazywali nie chwalili się. Zniknęło to gdzieś po drodze. Nie mieli już takiego szczęścia i nie szli tak wszędzie „na grandę“ jak

żołnierz i blondynek. Chcieli już też wyjechać. W ostatnią niedzielę złapał ich służbowy w kuchni nad repetą. Starszy, ten częstochowski, wrócił zmartwiony: „Chłopcy, jo wyjijdzom. Chycą mnie kaj, wezmą na milicję, zaczną tyrać, a tak pojedą do Krakowa, wezmą undra i pojedą dalej do Warszawy“.

Nie mogło się tu już nic nowego stać. Na etapie niesposób zmienić swego, co dopiero mówić o cudzym życiu. Sami bez zajęcia i bez grosza, nie wiem czemu po maniacu nakłanialiśmy ich, żeby do nas wstąpili, że im pomożemy, że znajdziemy dla nich dobrą pracę. Przynękali, że na pewno przyjadą, ale prosili, żeby nikomu nie mówić, że oni rajzują, tylko — że szukają rodziny.

Trzeba było jechać. Ilnicki jeszcze wieczorem odłamał z pryczy jakąś deskę i prawie przemocą wziął rano nasz najcięższy tłumok — nasze książki — na plecy. Zjedliśmy na stacji jakieś zmarznięte bułki. W wagonie już, gdzieś między gwizdkami, kupiliśmy szklanke gorącego mleka, którą nie mogliśmy się podzielić z Ilnickim, bo go już nie było. Pociąg ruszał i dziewczynka biegła za wagonem, bo ostatnim tchem wypijał się do końca wrzątek. Śnieg prószył przez dziurę w dachu i przez wiele jeszcze stacji tłukliśmy się po kątach wagonu, jakby nam nagle czegoś zabrakło. Mieliliśmy jakiś żal, jakąś złość do siebie, do ludzi i do świata: opuszczaliśmy ich nie umiając się zdobyć na nic wielkiego: ani na wspólną wędrówkę z nimi, ani na mocną wiarę w nasze własne życie.

Samy byliśmy niczym, obiecując im na etapie inne życie. Daliśmy im więc na odjeździe także listy do was, nasi znajomi. Wiem, że postąpiliśmy lekkomyślnie i strasznie: postaliśmy wam świerzbowatych włóczęgów. Nie martwie się: najprawdopodobniej i tak do was nie przyjadą. Ale na wypadek, gdyby przyszli, chcę wam bliżej wytłumaczyć tę sprawę.

Tych chłopców zostawili nam Niemcy. W lagrach Zabrze czy Hindenburga, na Pomorzu, na Śląsku, w obozach angielskiej i amerykańskiej strefy. Po odejściu Niemców otrzymali niedobry, wojenną wolność. Szli „na rynek“ po jedzenie, szli na niemieckie wsie, szli po tyle lat zamkniętą w Niemczech młodość — gdzie bądź i coraz częściej. Nie wiercie w to, że mogli wówczas pójść do szkoły, do ich śmiesznej „ochronki“, wrócić do jakiegoś domu. Należała się im ta frontowa wolność. Ale potem my musieliśmy w pierw odbudowywać mosty i elektrownie, stacje i zwrotnice, a tymczasem urzędnicy od filantropii myśleli, że stratę matki, stratę młodości w wolnej ojczyźnie można komuś wyrównać pieniędzmi. Tak nie zdołaliśmy im pokazać wolności pokoju piękniejszej niż zakład poprawczy. Nie zachwyciliśmy tych chłopców możliwością stania się polskim marynarzem, polskim lotnikiem, polskim inżynierem. Nie było nikogo, kto by ich zaprowadził do nowej Polski, pokazał pracę inną niż katorżniczą, kto by budząc zainteresowania łagodził niechęć do wysiłku. Nikt nie przychodził na etap Puru ani z komitetów opieki społecznej, ani z organizacji młodzieżowych, nie wyświetlono dla nich ani jednego filmu, żaden harcerz, żaden wychowawca nie powiedział im, czym dzięki nim może się stać nasz kraj, czym mogą stać się oni — w nim. Na mieście w komitetach dawano im pieniądze, a w izbie na etapie gromiono ich za to. Społeczeństwo rniało dla nich tylko litość i oburzenie, tylko szturchańce i zapomogi. Szybko nauczyło ich wzbudzać tę litość, zarabiać bez płaszcza i unikać albo gardzić oburzeniem. Miast budować za te pieniądze szybowce i motorówki dla tych chłopców, miast stwarzać wielkie centra morskiego i lotniczego szkolenia, miast wznosić domy, w których mając kino i radio, pływalnie i biblioteki, korty i warsztaty, kształciłoby się na majstrów i techników naszych zjednoczeń przemysłowych — dawano im lekkomyślnie w każdym mieście olbrzymie sumy do ręki, do własnego rozporządzenia, stając się współgrabarzem ich lepszej przyszłości. Nie żądajcie od włóczęgi książeczki oszczędnościowej. Jego świat jest większy niż wasz, włóczęga w każdym groszu jest bogatszy od was, bo wy wydajecie, żeby żyć i trwać w miejscu z kanapami, zamkami yale i kilimami, a włóczęga tylko żeby żyć, żeby dobrze żyć. Ale za to wszystko, co w stu miastach Polski bezmyślnie wręcza się jednemu chłopcu, za sumy wydane na utrzymanie jednego rajzera na etapach Puru, za zapomogi wydębane przez paru chłopców w komitetach całego kraju, a zmieniające się dziś w jeden strumień wódki, papierosów i ciastek, można utrzymać ich tysiące, utrzymać dostatanio nie tylko w ośrodkach szkoleniowych, zwracających wkład po długich latach, ale zbudować czy kupić obrabiarki, za którymi z dumą staną ci chłopcy.

Kto wzniesie dom, w którym Józków „z Zoleszczyk“ nie trzeba będzie oddzielnie zamknąć, w którym sami z radością pochylą się nad konstrukcją płatowca, nad tłokami motorów? Kto zaufa tym chłopcom, kto wyprowadzi ich z etapów Puru i korytarzy komitetów na kapitańskie mostki i bocianie gniazda, kto wyśle ich do naszych centrów szkolenia morskiego nad Gopłem, kto da im w ręce stery i kierownice? Wierzyć mi, to będą najlepsze ludzie polskiego morza, to będą neuustraszeni lotnicy. Oni — „źle wychowani“, oni — włóczęgi i rajzery — dzieci nie „z dobrego domu“, najlepsze nasze dzieci.

Wystawa współczesnych rysunków francuskich w Warszawie

W maju br. wystawiono w warszawskim Muzeum Narodowym z górą 70 rysunków współczesnych malarzy francuskich. W wystawie tej są reprezentowani następujący artyści: Asselin, Aujame, Bazaine, Beaudin, Bores, Desnoyers, Esteve, Fougeron, Gischia, Lapique, Manessier, Masson, Pignon, Robin, Roger, Singier, Tailleux, Tal-Coat, Villon. O artystach tych pisze we „Wprowadzeniu” do katalogu Pierre Francastel, dyrektor Instytutu Francuskiego w Polsce: „Zwyczaj się nauka Szkoły Paryskiej starali się ustalić nowe zasady techniczne pod natchnieniem, czerpanym przede wszystkim z nowodokrytego źródła — nieznanego i godnego podziwu — malarstwa romańskiego, które ukazane zostało właśnie ostatniego roku w całej wielkości przez nowe muzeum paryskie — Muzeum Fresków dla tym większej radości i tym większego pożytku tych wszystkich, którzy w przyszłości znajdą się na drodze do naszej stolicy”.

Do powyższych wyjaśnień należy dodać, że pierwotnie romańskie zostały w wystawianych rysunkach przekształcone tak gruntownie, iż ich rozpoznanie jest, łagodnie mówiąc, niezwykle trudne. Wystawa skupia przy tym rysunki dwójki rodzaju, takie, w których można dostrzec przedstawione przedmioty, istniejące lub mogące istnieć w świecie materialnym, oraz takie, które ograniczają się do czystej abstrakcji i w związku z tym są pozbawione znaczenia przedmiotowego.

A nawet, jeśli chodzi o pierwszą grupę rysunków, ich stopień nasycenia realnymi przedmiotami czy zjawiskami bywa bardzo różnorodny, gdyż znajdują się wśród nich utwory w pewnym sensie realistyczne i łatwo „czytelne”, obok których wiszą jednak kartony spowinowacone z abstrakcją, jakie poprzestają tylko na dyskretną aluzję do rzeczywistości obiektywnej. Rysunki typu realistycznego są przy tym nieliczne, także górują na wystawie twory abstrakcyjne lub bliskie abstrakcji. Istniejące na papierze sploty linii i plam barwnych (bo oprócz rysunków trafiają się na wystawie akwarele i barwne kredy) bytują więc często życiem potowicznym, skoro uwzględniają jedną tylko z dwóch zasadniczych warstw, z jakich składa się tzw. normalny obraz.

Z grubsza bowiem traktując budowę obrazu można stwierdzić, że zawiera on zazwyczaj wyglądy przedstawionych przedmiotów oraz bywa wynikiem zabiegów konstrukcyjnych, porządkujących dzieło zgodnie z wewnętrzną potrzebą człowieka, który zawsze dąży do organizowania swego życia i swoich wytworów, przeciwstawiając się w ten sposób chaosowi. Dzieło malarskie wykonuje się przy pomocy linii i plam, które zazwyczaj wyrażają coś więcej niż same linie lub plamy, bo człowieka, zwierzę, krajobraz itd.

Wystawione rysunki francuskie to często tylko sploty linii i układy plam, które pozostają takimi i niczego poza sobą nie wyobrażają, wyprute zupełnie z elementów rzeczowych. Pewne zdziwienie budza zatem tytuły tych wyjątkowych kombinacji linearno-barwnych, jak np.: „Współwinni”, „Zwierzenie”, w odniesieniu do rysunku Lapique'a lub „Pejzaż o zachodzie słońca” w odniesieniu do systemu krat żółto-buraczkowo-kobaltowych Singiera. Tytuły te, jeśli je traktować serio, wskazują bowiem na to, że w intencji autorów nie leżało poprzestanie na czystej konstrukcji abstrakcyjnej, skoro obraz ma jednak coś wyrażać, np. stosunek twórcy do aktów psychicznych, zjawisk przyrodniczych, i zachowania się ludzi („Współwinni”), — skoro ma on zatem budzić u widza adekwatne zamierzeniem reakcje.

Wydaje się jednak rzeczą co najmniej wątpliwą, czy wywołanie odpowiednich asocjacji jest możliwe, bo skojarzenie kraty z pejzażem, poplątanych krech różnobarwnych ze „Zwierzeniem” lub jaskrawych i bezkształtnych (to jest nieregularnych) plam obrysowanych konturem z wyobrażeniem „Współwinnych” nie może się chyba dokonać.

W gruncie rzeczy taki obraz (rysunek) pozostaje abstrakcyjną grą linii i plam, uporządkowanych w mniej lub bardziej konsekwentny sposób, bo albo według pewnych łatwiejszych do uchwycenia prawideł jak symetria, rytmiczność itp., albo według wyczuwalnej zasady jednoczącej, która prowadzi np. do równomiernego wypełnienia płaszczyzny, chociaż nie zawsze. Na dowolność jest tu wciąż dużo miejsca, wobec czego nie można ustalić kryteriów nie tylko ich badania, lecz także widzenia. W najlepszym razie powstają w ten sposób twory podobne do ornamentu, do jakiejś arabeski, z tym, że niczego one nie zdołają, lecz istnieją same dla siebie. Nie służą przecież do dekoracji ścian, sprzętu czy tkaniny, nie są więc „stosowane”. W rezultacie obrazu te, jak gdyby zawieszono w próżni, nie wzruszają i nie budzą na ogół głębszych przeżyć estetycznych. Albowiem stwierdzenie, że linie tych dowolnych układów bywają np. giętkie, wkreślone zrećnie i żywo, że prezentują francuską lekkość i swobodę, to przecież bardzo mało, jeśli się zważy, iż ładną linię demonstrowali już malarze dyluwiolni, którzy jednak przy jej pomocy konstruowali jeszcze trafnie zaobserwowany kształt bizona, mamuta lub renifera.

Współczesne rysunki francuskie, wystawione w Warszawie, należy więc ocenić nie jako zjawisko nowe, odkrywcze, lecz jako dalszy ciąg pewnych praktyk przedwojennych.

Pomyłka integralna tego kierunku polega zapewne na jego dogmatycznej jednostronności. Jest bowiem rzeczą prawdopodobną, iż można także odwrócić udowodniony już przez naukę pogląd, że dzieło sztuki to przedstawienie rzeczy plus ich konstrukcja, inaczej, że możliwie wierne skopiowanie rzeczywistości, nie zorganizowanej podług tkwiących w człowieku, immanentnych (idealistycznych) dyspozycji — nie konstytuuje dzieła; ale i na odwrót, sama konstrukcja pozbawiona warstwy przedmiotowej rzadko konstytuuje dzieło. W zdołnictwie tę „przedmiotowość” zastępuje w pewien sposób materiał: wełna, jedwab, drzewo, tynk itd., dzięki czemu ornament abstrakcyjny, otrzymuje jak gdyby materialne, utwierdzone w rzeczywistości podłoże, dzięki czemu „abstrakcja” znowu czemuś służy i łączy się z życiem, wyzwalać także estetyczne wzruszenie. Sprawa ta nie jest jeszcze całkowicie jasna, wobec czego wysuwamy wyżej sformułowany pogląd jako próbę hipotezy.

Jak wspomnieliśmy na początku tego sprawozdania, istnieją na wystawie także prace, zacepione w różny sposób o świat realny. Asselin prezentuje np. miękko rysowane, zupełnie czytelne, realistyczny pejzaż. Aujame'a „Kobieta wsparta na łokciach” jest zrećnym, nieco akademickim i walorowym rysunkiem. Wytwornym rysownikiem wydaje się Fougeron, którego „Siedzący akt”, widoczny od tyłu warunkuje nieskazitelnie czysta, piękna i sprężysta linia. Krajobraz tego malarza, to nerwowo narysowane liście na planie pierwszym, pień drzewa za nimi i czarne kropki jego liści. Akty Boresa to pędzlem rysowane miękkie kontury — próby wirtuozerii technicznej. Jego „Akt na dywanie”, pojęty jako skrót syntetyczny, przywodzi na myśl dzięki mocnym obrysom technice witrażu. Popierając się włosami Gischli stanowi zespół grubych linii i jest może reminiscencją prymitywnego antyku przez rytmiczny układ włosów i wyolbrzymienie oczu (kierujących wyobraźnię ku „wołokiej” Ate-nie). U Pignona spotykamy echa secesji, a także hieratyzm w „Studium Katalończyków”. Stojący „Akt” Robina można ocenić jako poprawny rysunek cienkim piórkiem. „Kot pod krzesłem” Tailleux, wykonany tuszem również przy pomocy pióra, to trochę dziwne zwierzę, przyszyte jak pnia-mi nogami krzesła, ukształtowane może pod wpły-

wem Japończyków, nakrapiane plamami tuszu, strząśniętymi mechanicznie z narzędzia. Tal-Coata „Kogut” reprezentuje grubo narysowany, zacieniowany i uproszczony kształt autentycznego ptaka. Villona „Racine” to tuszem narysowana przy użyciu przerywanych kresek i kropek poprawna głowa w peruce na tle olówkiem wykonanej kratki, poprzecinanej dodatkowymi, geometrycznymi liniami. Jego „Panna Colette” należy do znamienitych i u nas „malarskich” rysunków ze splątanych, krótkich krzywizn, otwierających zwykły kształt fizyczny modelki. Akwarele Aujame'a, wykonane bardzo ciętą farbą długimi, elastycznymi smugami (np. we „Wznoszącej się drodze”), zahaczają o rzeczywisty motyw i tworzą równocześnie jak-gdyby samoistne, arabeskowe zestroje wielobarwnych elementów.

Te pobieżne co prawda opisy dają jakieś takie pojęcie o wystawianych pracach, wobec czego nie warto ich mnożyć. Wystarczy na zakończenie powtórzyć, że w gruncie rzeczy pokazane nam rysunki i akwarele nie są jakimś zjawiskiem nowym i łączą się wyraźnie z przedwojenną sztuką paryską. Wątpliwie zatem należy, czy można je uważać przynajmniej za zarzewie form nowych i zapowiedź nowego widzenia natury i w ogóle przedmiotów. Ma się także w ich świetle wrażenie, że Europy ciągle jeszcze nie stać na nową wizję plastyczną i twórcy stosunek zarówno do świata zewnętrznego i do idealistycznych, porządkujących tendencji człowieka. Przychodzi nam jeszcze na myśl, że na porównaniu z artystyczną sytuacją Zachodniej Europy, nasza własna sztuka nie wychodzi najgorzej.

Tadeusz Dobrowolski

Z OGÓLNOPOLSKIEGO SALONU W WARSZAWIE



ZYGMUNT RADNICKI

Portret



WŁODZIMIERZ SAWULAK

Pejzaż

Wystawa bieżąca i wystawy zbiorowe w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych

(Maj — czerwiec 1946)

Poziom bieżącej wystawy w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych nie jest wysoki. Pomimo to trzeba jej poświęcić nieco uwagi, naprzód dlatego, że znalazły się na niej obrazy i prace graficzne o niewątpliwie wartości, typowe przy tym dla obecnej produkcji artystycznej — następnie ze względu na zasadnicze pytanie, czy kultura pewnego czasu należy mierzyć faktami najwyższej próby, czy też celem jej oceny szukać raczej „przeciętnej”. Jeśli chodzi o kulturę w wymiarze społecznym, należy badać wszystkie jej przejawy, dzięki czemu uniknie się skrzywienia obrazu tej kultury, której przedstawienie winna cechować bezstronność.

Na wystawie bieżącej zwrócić uwagę sprawozdawcy obrazy następujących artystów, których wymieniamy się w porządku alfabetycznym: Zbigniewa Jarosza Gostwickiego, Stanisława Millega, Zygmunta Millega, Zygmunta Mysłakowskiego, Alojzego Siwickiego, Zdzisława Truskolaskiego i Zofii Ratkowskiej-Wielowiejskiej. Martwa natura Gostwickiego, malowana grubo warstwowaną farbą, nakładaną z pewną wirtuozerią techniczną, posiada dobre partie, których wartość obniża jednak nadmiar przebieżeń, przy tym nieco puszystych i przez to skłóconych z mocną konsystencją plam, określających owoce. Uspokojenie powierzchni płótna i wysłtek w kierunku opanowania „temperamentu” malarskiego wyszłyby zapewne na korzyść temu impulsywnemu artyście. Pejzaże z Krzemionek Stanisława Millega, malowane dyskretnie, na ogół bez-walorowe, łączą się ideowo z współczesnymi praktykami większości malarzy polskich; podobnie Widok z okna Zygmunta Millega, wykonany krót-

kimi uderzeniami pędzla, oparty na rytmach pionowych, skrzyżowanych z poziomą podstawą obrazu, wyznaczoną przez pierwszoplanowy dach domu. „Okno” Mysłakowskiego, utrzymane w srebrzystej, mglistej gamie barwnej, uwzględnia współczynnik słonecznego światła, co dzisiaj zdarza się dość rzadko. W martwych naturach Siwickiego, nierzadko odważnych pod względem napięcia skali barwnej oraz użycia zdecydowanych kontrastów, niepokoi jeszcze pewna surowość koloru. Dużych wymiarów kompozycja Truskolaskiego, o przewadze jakości abstrakcyjnych, dowodzi dużej odwagi i decyzyjności w organizowaniu obrazu, pojętego jako barwna płaszczyzna dekoracyjna i dlatego działającego w gruncie rzeczy na podobieństwo oszołimego, miesistego dywanu. Również i to płótno posłoda usterki, że wspomni się np. o zbyt silnym ciężkim planu drugiego nad pierwszym. Zresztą jak wynika z moich recenzji dawniejszych, mam wątpliwości zasadnicze co do celowości tego rodzaju konstrukcji obrazowych. Ładny, ciepły, prawie gorący ton ogólny, oparty na zróżnicowanych zórciach cechuje Martwą naturę z kwiatami i owocami Wielowiejskiej.

Z wystaw zbiorowych trzeba wymienić na pierwszym miejscu grafikę i rysunki Zygmunta Króla. Znany nam jeszcze z dawnych, przedwojennych czasów, utalentowany grafik wystawia szereg autolitografii, rysunków tuszem i kredką, w których demonstruje interesujące metody techniczne, będące wynikiem jego samodzielnego doświadczeń. Posługując się nimi osiąga niemało znaczne efekty estetyczne, jakie przede wszystkim winny być celem sztuki. Warto więc pamiętać o tym, że nie trzeba ulegać zbyt łatwo swoistym urokom technicznym, bo chodzi tu tylko o środki, które nie są najważniejsze w twórczości. Sprawa istotną jest zawsze ekspresja dzieła, jego siła oddziaływania przez ostateczny zespół różnorodnych jakości, który na ogół przysłania i odsuwa w cień same zabiegi typu fakturowego. Na wyszczególnienie sąstuguje „Akt kłęczący”, rodzaj miniatury „sgrafitta”, wykonanego na papierze przez wyskrobanie w warstwie bolusowej i litograficznej kredki splątanych kresek i punktów, — tak samo „Akt leżący”, odbity z litograficznego kamienia, nacinanego różnymi narzędziami w ten sposób, że na tle czarnym wibruje mnóstwo wielorakich linii: ciągłych i przerywanych, składających się na jasny i miękki, niemal puszysty kształt kobiecy, pomimo to łatwy do odczytania, a przy tym niepozabawiony zmysłowego uroku. W rysunkach ujawnia artysta rozmaite systemy techniczne, posługując się miękka i delikatna, to znowu energiczna i ciemna kreska, stosując metodę skrobania w tuszu, nakrapiania papieru tuszem i swoisty „pointylizm”, wyrażający się użyciem jedno- lub wielobarwnych kropek.

Inny charakter posiada grafika Leona Kosmulskiego, który w przeciwieństwie do Króla, związanego swą kulturą plastyczną z współczesną sztuką zachodnią, uprawia świadomy passéizm i nawiązuje głównie do rycin z epoki baroku. Niektóre jego medycynty o motywach architektonicznych, pojęte jako idealne elewacje fasad, przypominają dawne rysunki techniczne, a uproszczenia innych przywodzą na myśl widoki miast barokowych „topografów” w rodzaju Meriana czy Puffendorfa. Podobnie wizerunki osób historycznych wzorują się na starych rycinach i powtarzają ich zasadnicze układy (medallion z portretem, tabliczkę z napisem itd.). Trafiają się jednak w jego grafice także drzeworyty współczesnego typu malarskiego, o zmiennej fakturze w obrębie ryciny oraz drzeworyty barwne, blade w tonie i podobne nieco do rytów Konarskiej. Przeważnie jednak ulega Kosmulski urokom ryciny starodawnej, oscylując między barokiem, klasycyzmem, a nawet ksylografią ludową. Jego obrazy natomiast wydają się nieporozumieniem jeśli idzie o istotę olejnego malarstwa.

Oprócz wymienionych wystąpili z pokazami zbiorowymi Antoni Waśkowski, który wykonuje pastelami portrety i pejzaże, często w nawiązaniu do secesyjnej manieri Wyspiańskiego, oraz Tibor Csorba, autor kilkunastu akwarel, przedstawiających krajobraz węgierski i zakopiański, malowanych silnie rozcieńczoną, „chlapaną” farbą, co przywodzi na myśl pewne nałogi techniczne Fata i współczesnych mu naśladowców wraz z całą przypadkowością efektów, właściwych owej brawurowej i programowo „spontanicznej” fakturze malarskiej.

Tadeusz Dobrowolski

KRONIKA FILMOWA

„Grzesznicy bez winy”, film produkcji sowieckiej, „Mosfilm”, według sztuki A. Ostrowskiego.

W historii kinematografii wyrobił się pewien gatunek psychologizmu — odpowiadającego sztuce kameralnej na scenie — który ze względu na zamierzanie Niemców do tej formy nazwałbym psychologizmem niemieckim. „Błękitny motyl” z Marianną Dietrich i Janningsem, „Niepotrzebny człowiek” z Janningsem, „Romanca w h-moll” z Marianną Hoppe — oto przykłady ilustrujące moją tezę. Formalnie cecha takiego filmowego ujęcia jest zacieśnienie pola widzenia do ram teatralnych, jeśli idzie o dekorację, położenie nacisku na grę aktorów, z dekoracyjnym wyświetlaniem maski (gry twarzy) przy starannej i skomplikowanej kompozycji literackiej. Treść jest wówczas mocno liryczna, sięgająca do rudymetów natury ludzkiej. „bebechowa” — jakby powiedział St. I. Witkiewicz, a forma odpowiednio „wygrzana” i „wytrzymała” w nastroju; — na niej niesie się wzruszenie.

„Grzesznicy bez winy” są pozycją dość wyjątkową w repertuarze rosyjskim i podpadającą całkowicie pod nakreślony tutaj schemat. Trzeba sobie z góry powiedzieć, że Rosjanie nie mając tak wyrobionej tradycji w omawianym gatunku, nie na każdym odcinku doprowadzili do doskonałości przetworzenie sztuki teatralnej na filmową. Główny element — aktorski — uderza ponadto narzucającą się wyrazistością gry i schematycznością w ujęciu charakterów. Niewiele tam brakuje do formy, która byłaby zupełnie zadowalająca i o wypełnienie tego niedoboru warto się pokusić przy następnej próbie. Wydaje mi się, że więcej sceptycyzmu, nie wygrywanie uczuć do ostatniej nitki, więcej swobody i polotu w operowaniu kamerą wyszłoby sztuce na korzyść.

Cofamy się w czasy fin de siècle'u, z jego umiłowaniem teatru, kulis i mecenasostwem, które w Rosji szczególnie było żywe. Gubernialne miasto wita wielką aktorkę Kruczyńską, kobietę lat około czterdziestu w pełni gwiazdy i artystycznej dojrzałości. W oczach Kruczyńskiej, fetowanej i wycałowywanej po rękach, drżenie wspomnień tego miasta i osobistego z nim związanego losu. Przed siedemnastu latu przeżyła tu bowiem jako skromna i nikomu nieznaną dziewczyną dramat miłosny, z poruczeniem przez niewiernego kochanka i śmiercią dziecka, oddanego na wychowanie jakiejś tam babinie Smierci dziecka okazuje się pozorna. Z chłopczyka „znajdy” — wyrósł dorodny młodzieniec aktor, ale i wykończony człowiek, złamany właśnie świadomością nieprawego pochodzenia i brakiem ciepła macierzyńskiego w dzieciństwie. Fluid żywej sympatii między matką a synem bez uświadomienia przyczyny — urasta do wielkiego nasycenia. Równocześnie ożywa cały teatr wzruszeń sprzed wielu lat. Zjawia się i ojciec, Murow, karierowicz i egoista, który poznałszy swój błąd, chciałby go teraz naprawić, ale nie dostąpił przebaczenia w mądrym i szlachetnym sumieniu Kruczyńskiej. Ujawnia się tylko przynależność do siebie matki i syna, ku wielkiemu szczęściu obojga. Kruczyński gra A. Tarasowa, młodego Griszę Nieznawow — W. Drużnikow. Prócz tego parę epizodów, m. in. dwoje komików dobrej klasy — pijaczyna, przyjaciel Griszy i pulchna aktoreczka intrygantka.

Marian Promiński

KAZIMIERZ WYKA

Socjalizm, komunizm i katolicyzm

DWA ZEBRANIA

Taki tytuł nosiły dwa wspólne zebrania dyskusyjne zespołu pisarzy lewicowych i podobnego zespołu katolików, które odbyły się w ubiegłym tygodniu w lokalu krakowskiego klubu „Kuznica”. Właściwie zebranie miało być tylko jedno: urządzone w poniedziałek 24 czerwca z inicjatywy redakcji „Odrodzenia”. Kiedy jednak po kilkugodzinnej dyskusji, niedaleko północy, wszystkim stało się jawne, że problem ledwo został napeczęty, w sobotę 29 czerwca, tym razem na zaproszenie redakcji „Tygodnika Powszechnego”, dyskusja potoczyła się dalej. Potoczyła się, by po paru godzinach znów doprowadzić zebranych do przekonania, że mnóstwo zagadnień czeka jeszcze na rozpatrzenie i na spotkania dyskusyjne, które — postanowiono — nastąpią na jesieni. Tak więc to pierwsze w Polsce zetknięcie publiczne, pierwsza szczerza wymiana myśli nie pozostała kontaktem chwilowym. Obydwa strony uznały, że bez względu na praktyczny wynik spotkań w kręgu dyskusyjnym spotykać się warto i należy.

Patrząc na zasmarowane notatkami zaproszenia na zebrania jestem w dużym kłopotcie, jak uporządkować mnogość poruszonych problemów. Bo dyskusja, chociaż bez przerwy utrzymana na wysokim i interesującym poziomie, była — jak słusznie pod koniec drugiego zebrania zauważył W. Kętrzyński — dosyć polska: ty do Sasa, ja do lasa. Najprościej oznaczając właściwości spotkań, rzecz wypada, że pierwsze z nich było raczej praktyczne i polityczne, drugie bardziej teoretyczne i światopoglądowe. Pierwszemu przewodniczył Julian Przybóś, przemawiali wprowadzając kolejno w problematykę proponowanej dyskusji Tadeusz Breza, prof. Konstanty Grzybowski, wiceminister Władysław Bieńkowski — w samej dyskusji uczestniczyli ks. red. Jan Piwowarczyk, dr Bolesław Drobner, Jerzy Radkowski, Antoni Gołubiew, Stanisław Stomma, kończył zebranie ponownym przemówieniem wicemin. Bieńkowski. Drugiemu zebraniu przewodniczył Jerzy Zawieyski, wprowadzając w światopoglądowe zbieżności katolicyzmu i marksizmu. Zagajali Jerzy Turowicz, zabierali głos Józef Sieradzki, prof. Konstanty Grzybowski, Roman Szydłowski, Julian Przybóś, Stefan Morawski, Stanisław Furmanik, Stefan Otwinowski, Adam Mauersberger, Wojciech Kętrzyński, Jerzy Zagórski, Hanna Malewska, Stanisław Stomma i ks. Jan Piwowarczyk.

Tyle, jak dziennikarze pisują, z suchego obowiązku sprawozdawcy. Spróbujmy teraz wyłuskać pewne zagadnienia główne, spróbujmy wskazać, jak one w dyskusji wystąpiły, gdzie nastąpiło zbliżenie, a gdzie padło wzajemne, czy przynajmniej jednostronne — **non possumus**. Uczynimy to zasadniczo w tym porządku, w jakim zagadnienia te zostały przez uczestników postawione, chociaż niejedną z problemów głównych został dopiero później jasno nakreślony. I tak np. nie czysto okolicznościowe, ale istotne powody światopoglądowe, które sprawiają, że katolik i marksista mają o czym wspólnie mówić, te powody naświetlił w swoim przemówieniu dopiero J. Turowicz. Prawdziwy mechanizm polityczny stosunku marksistów i katolików w polskich warunkach na tym samym, drugim zebraniu ukazał dopiero K. Grzybowski. Pozostaniemy mimo to wierni tokowi dyskusji.

PRZYKŁAD FRANCJI

Przykład Francji pojawił się zwłaszcza w zagajeniu Tadeusza Brezy. Breza przypomniał wojenne współzycie katolików i marksistów we Francji, przedstawił podobieństwa i różnice sytuacji francuskiej i polskiej, sprawdzające się przede wszystkim do faktu, że katolicyzm francuski, będąc mniejszością, już dawno się z tym oswoił, że musi dopiero zdobywać świat współczesny, czyniąc dlań zasadnicze koncesje. Wskazał, że próba współzycia została już dokonana, pytał, o ile ta próba jest możliwa do naśladowania w Polsce.

Czy wyniki francuskie można przenieść w sposób automatyczny na grunt polski, wątpił w imieniu katolików J. Turowicz. Skrajna lewica katolików francuskich, z Mounier i grupą „Esprit” na czele, to nie cały katolicyzm francuski; to jedynie próba stworzenia wspólnej platformy myślowej, która katolicyzmowi francuskiemu, a tym więcej katolicyzmowi innych krajów nie angażuje politycznie w jakiś decydujący sposób. Turowicz jest z pełnym uznaniem dla dorobku katolicyzmu francuskiego, nazywa go najwyższą zdobyczą współczesnej myśli katolickiej, ale na propozycję postawienia znaku równania pomiędzy sytuacją Francji a Polski odpowiada — **non possumus**. Jak takie zastrzeżenie rozumieć, wyjaśnia przemówienie W. Kętrzyńskiego. Sprawa współpracy katolików z marksistami wykracza, jego zdaniem, poza wewnętrzne stosunki polskie. W Polsce wnieść można jedynie pewne wkłady próbne, ale cały problem może być rozstrzygnięty jedynie na płaszczyźnie światowej, w skali interesów całego Kościoła i jego najwyższej hierarchii.

Tak więc, traktowany jako świadectwo, że-

by tak powiedzieć, wzorcowe, przykład Francji, zdaniem katolików polskich, nie jest dla nich drogowskazem absolutnym. Ale prócz zasadniczych, istnieją analogie inne, które w specjalnych warunkach polskich nie straciły doniosłości. Nie wymagamy, by rozwiązanie polskie angażowało bezpośrednio Rzym, skoro, jak twierdzi J. Zagórski, istnieją problemy współpracy, których bez wyrażonej aprobaty papieża katolik nie podejmie, ale — i na takim właśnie motywie opiera swoją wypowiedź J. Sieradzki. Sprawa jest prostsza i łatwiejsza do rozstrzygnięcia. Katolicyzm francuski był również formacją niejedolitą. Action Française, mimo oficjalnego potępienia papieża, przynajmniej się do katolicyzmu i wśród katolików posiadała swoich zwolenników, ale już przed wojną większość katolików francuskich jednoczyła się na platformie postępowej — całkiem inaczej aniżeli w Polsce. Rzecz w tym, ażeby obecny katolicyzm polski ustabilizował się nie w swojej pozycji przedwojennej, ale przynajmniej w tej proporcji i układzie, w jakich już przed wojną rozkładał swoje siły katolicyzm francuski.

Wiceminister Bieńkowski nie jest skłonny winić wyłącznie tylko katolików za taką krystalizację ideologiczną w niedawnej przeszłości, krystalizację, która sprawiała, że od aktywnych elementów katolickich najbliższe było do ONRU. Winowajcą jest ogólne zapóźnienie społeczne i ideologiczne kraju. Ale i on podkreśla, że dla zdrowia polskiego katolicyzmu konieczne jest zerwanie z jego parantelą społeczną, i on, idąc dalej niż Sieradzki, wskazuje, że nie tyle ważny jest problem zgody światopoglądowej, bo ten jedynie na płaszczyźnie mało wartej konformizmu myślowego dałby się zbudować, ile ważna jest sprawa dogadania się z katolicyzmem jako instytucją. Postępowy katolicyzm francuski uległ już „instytucjonalizowaniu”, stanowi realny obóz polityczny i dla polskiej współpracy katolików i marksistów najważniejsza jest ta część przykładu Francji.

KATOLICYZM POLSKI

Już na przykładzie Francji centralny problem „dyskusji przesuwa się, jak widzimy, ku innej sprawie. Ku zagadnieniu specyficznych warunków rozwoju katolicyzmu polskiego, jego bazy społecznej, jego obecnej roli politycznej, wreszcie realnych, na gruncie polskim możliwych warunków współzycia. Naświetlają te sprawę przede wszystkim dwa przemówienia K. Grzybowskiego. Pierwsze dotyczy raczej przeszłości. Katolicyzm posiadał swoje pozycje wysunięte ku przemianom socjalnym wieku. Zajmuje je ruch chrześcijańsko-społeczny. Ale drobnomieszczańska rekrutacja tego ruchu, brak bazy wśród robotników sprawiły, że już przed wojną okazał on zupełny brak oporności wobec faszyzmu. Pozycje społeczne, które katolicyzm zdobył we własnym zakresie, zostały utracone. Należy szukać innych.

Jak ta sprawa przedstawia się w dzisiejszych warunkach polskich? Istnieją obecnie u nas trzy realne siły ideologiczno-polityczne: marksizm, katolicyzm i elementy faszysto-nacjonalistyczne. PSL tylko z pozoru stanowi ruch ideologicznie zwarty: ściśle biorąc, jest tylko ruchem organizacyjnym, skupiającym elementy rozbieżne od nacjonalistycznych, od jakichś nowych prób wiejskiego irracjonalizmu po elementy szczerze katolickie, a nawet społecznie postępowe. W rezultacie ideologiczna gra sił sprowadza się w Polsce do dwóch biegunów: marksizm — faszyzm. W tej sytuacji jest rzeczą podstawowej wagi, po której stronie stanie katolicyzm czynny politycznie. Doświadczenie przedwojnia i wojny dowodzi, że szczerzy katolik nie znajdzie dla siebie miejsca wśród integralnych nacjonalistów.

Sprawa ta — ciągle streszczamy wywody Grzybowskiego — posiada specjalny aspekt

polski. W Polsce muszą się połączyć wszystkie siły ideologiczne, które nie dają do przewartościowania, bo ten byłby katastrofą narodową. Połączyć się zaś mogą, poczyniwszy wzajemne ustępstwa w pewnych problemach konkretnych i stanowią przy kilku stwierdzeniach wspólnych. Grzybowski zgłasza ich trzy: 1) nieodwracalność pewnych urządzeń i przemian społecznych; 2) wolność religii, jaką zapewnia państwo laickie, awyznaniowe, lecz nie antyznaniowe; 3) bezwzględna równość jednostki, zabezpieczona materialnie. W innych słowach to samą podstawową diagnozę warunków współpracy ze strony obozu postępowego zgłasza J. Sieradzki: możliwość współpracy zawiądy od stopnia ujawnionego przez katolików radykalizmu, od diagnozy trwałości obecnego układu gospodarczego, od uznania go za taki, jakim jest w istocie — za układ strukturalny, a nie koniunkturalny, przejściowy.

Tę diagnozę specjalnych warunków polskich mówcy katolicycy uznają. W. Kętrzyński, chociaż całe zagadnienie przekracza dlań polską rzeczywistość wewnętrzną, zgadza się z sądem, że nierozwiązanie problemu współpracy obozów o różnych światopoglądach grozi w polskich warunkach katastrofą narodową. Nie inne jest zdanie Stommy. Nie inne J. Zagórskiego: jesteśmy w okresie, kiedy konstytuuje się nowy i trwały system praw i urządzeń. W jego budowie konieczna jest pomoc Kościoła, chodzi tylko o warunki tej pomocy. W przedstawionej diagnozie sytuacji tylko jednemu twierdzeniu zaprzecza Malewska: nie sądzi, by istniał tylko wybór między rewolucją wsteczną, regresywną a obecnym porządkiem rzeczy. Tertium datur, powiada. Jak to trzecie rozwiązanie może wyglądać, nie określa.

Padł już termin ustępstwa. O ustępstwach mówią pisarze marksiści i do nich zbliżeni. Katolicy zgłaszają postulaty i wytaczają skargi; jest w tym nowe ogniwo dyskusji. By jednak zrozumieć podstawę ustępstw i podstawę żądań, musimy przypomnieć przemówienie J. Turowicza.

ANALOGIE W UKŁADZIE WZGLĘDNYM

Tym terminem ochrzcił J. Turowicz te analogie światopoglądowe pomiędzy katolicyzmem a marksizmem, które obydwu formacjom umożliwiły w wielu krajach podobną postawę wobec faszyzmu i które nadal nie straciły aktualności. Dla Turowicza obydwie poglądy są systemami wiary, a nie tylko pewnymi technikami społecznymi, jak się to nieraz twierdzi o marksizmie. Rozum katolicki i racjonalizm marksistowski są poniekąd równoległe — katolicyzm również stawia rozum powyżej woli i instynktu. Obydwa światopoglądy są realistyczne i każda forma jednostronnego idealizmu jest ich wspólnym przeciwnikiem. Realizm katolicki, podkreśla J. Zawieyski, podobnie sprzeciwia się utożsamianiu stanowiska katolickiego ze stanowiskiem idealistycznym. Ten moment wywodów Turowicza nie znalazł uznania u przeciwników — najsilniej wyraża się to w proteście J. Przybósia. Czy katolicyzm jest rzeczywiście światopoglądem realistycznym, jak siebie nazywa, sprawa ta nie została w dyskusji rozpatrzona do końca. Chcąc utrzymać się konsekwentnie w roli świadka, nie zgłaszam swojej poprawki do niewątpliwego nieporozumienia ukrytego w twierdzeniach Turowicza i Zawieyskiego.

Powróćmy do podobieństw względnych. Wspólna jest idea awansu warstw upośledzonych. Kościół od niej rozpoczął i jej nie porzucił. Podobny jest wreszcie uniwersalistyczny, ponadnarodowy plan myślowy obydwu systemów. Jednakowoż katolicyzm, chociaż uznaje w swojej socjologii fakt walki klas, pragnie ten fakt rozładować nie przez dyktaturę jednej tylko klasy społecznej. Katolicyzm obawia się również antypersonali-

stycznego i antyhumanistycznego nurtu marksizmu: jeżeli pełną rzeczywistość posiada tylko klasa społeczna, jednostce grozi zmiążdżenie. W tych obydwu względach, w tych obydwu różnicach katolicycy muszą żądać pewnych odpowiedzi zasadniczych.

SKARGI I POSTULATY

Tak wyglądają postulaty i punkty nieufności u katolików. Odpowiadają im ustępstwa równoznaczne z zmianami zachodzącymi w marksizmie. Podstawę ogólną tych zmian ukazuje Sieradzki: marksizm sam siebie traktuje dialektycznie. Nie jest on teorią sztywną, raz na zawsze zamkniętą, jest natomiast naddbudową myślową konsekwentnie rozwijaną nad faktami. Nadaje mu to charakter dostatecznie szeroki, by w każdej nowej sytuacji znajdował odpowiadający tej sytuacji język. Te zmiany i ustępstwa nazywa po imieniu Grzybowski: marksiści nie dają w Polsce do dyktatury proletariatu. Odsuwając w bliżej nieokreśloną przyszłość pełną realizację społeczeństwa skonstruowanego według ich pojęć i dając możność legalnego działania partiom niemarksistowskim, tym samym chcą z nimi współpracować. Dalsze ustępstwo, na podstawie przemówienia R. Szydłowskiego podsuwane przez Stommę, jakoby marksizm skłonny był do zasadniczej, światopoglądowej tolerancji wobec poglądów zawierających wiarę w świat niematerialny, pozostaje tylko sugestią niedopowiedzianą. Przebieg dyskusji, wzajemna zachęta do niekonformizmu w sprawach, żeby tak powiedzieć, zwornikowych, zaprzecza tej sugestii.

Postulaty i skargi katolików sięgają dalej aniżeli ustępstwa. J. Zawieyski dowodzi, że w codziennym zachowaniu się obozu postępowego brak tego pełnego szacunku dla drugiej osobowości, na jaki umieją zdobyć się katolicy. Jestem zdolny — powiada Zawieyski — napisać chętnie o Przybósiu i to się całkowicie mieści w humanizmie, jaki reprezentuję; po stronie lewicy polskiej nie ma tej szerokości ludzkiego ujęcia. Powstają nowe programy szkolne, w ich opracowaniu katolicy nie uczestniczą. Katolicy — skarży się znów H. Malewska — w niejednej sprawie, w jakiej dotąd milczał, przestałby milczeć, gdyby im dano większą swobodę słowa. Mówiąc tak pewnym zagadnieniem, trzeba nieraz owo tak zaopatrzyć w różne ale, kiedy jednak owo ale wygłosić trudno, niejedną postępowy katolik powstrzymuje się w ogóle od głosu. Dotąd panuje wzajemna nieufność — przypomina J. Radkowski. Obydwie strony były nieprzygotowane do rewolucji, opóźnienie, o jakim mówi Bieńkowski, jest wzajemne. Katolicy nie ufają intencjom przeciwników, marksiści nie są pewni, czy istnieje dostatecznie silne pokrycie społeczne dla dokonanych już reform. Najdalej, bo poza sferę skarg o podłożu czysto psychologicznym, sięga postulat W. Kętrzyńskiego. W warunkach polskich prawdziwa współpraca katolików może oznaczać tylko współzrządzenie. Tylko wówczas analogia z Francją dozna dopełnienia. Inaczej nie zniknie u katolików poczucie rezerwy i upośledzenia.

Lecz żale nie wyczerpują się tylko na skargach katolików. S. Otwinowski przypomina, że nawet w tak niewątpliwych kwestiach, jak walka z antysemityzmem trudno się dogadać z dostojnikami Kościoła, z chwilą kiedy taka zgoda mogłaby katolicyzm polski angażować politycznie i instytucjonalnie. Tymczasem sprawa uczestnictwa Kościoła w odbudowie podstawowych kategorii moralnych powinna być, zdawałoby się, poza wszelką politykę. J. Przybóś porusza sprawę deklaracji ogłoszonej przed referendum w czasopiśmie katolickich, deklaracji wykrętnej i niechętnej, jeżeli idzie o pytanie dotyczące unarodowienia przemysłu i wielkiej własności. Odpowiedzi ani wyjaśnienia nie otrzymuje. Cień instytucji, o którym mówił wiceminister Bieńkowski, kładzie się między dyskutujących.

SPRAWA PERSONALIZMU

Ludzkie wzruszenie, pewna miękkość chrześcijańskiego humanizmu, jego dogłębny personalizm, oto co stanowi trzon katolickiego stosunku do drugiego człowieka — mówił na pierwszym zebraniu St. Stomma. Jeżeli polski marksizm jest bardziej humanistyczny, bardziej ludzki i indywidualny, zawdzięcza to ukrytemu w kulturze polskiej działaniu personalizmu katolickiego. Wobec tego pytam — pytanie było skierowane wprost do wiceministra Bieńkowskiego — czy rzeźba silnej indywidualności jest według was marksistów, czymś **in plus** czy **in minus**?

Odpowiedź brzmiała: marksiści nie negują praw jednostki do jej wewnętrznej kształtowania, ale jednostki pojmowanej jako pewien cel społeczny, nie jako cel sam w sobie. Dla marksistów, by użyć pewnego porównania statystycznego, ważniejsze jest 50 procent jednostek ukształtowanych w 20 procentach jako indywidualności skończone, aniżeli 5 procent ukształtowanych i wychowanych w 80 procentach.

Sprawa personalizmu nie wyczerpała się na-

POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

Polski Słownik Biograficzny, wydawany przez Polską Akademię Umiejętności, zawiera zwięzłe życiorysy zmarłych działaczy w zakresie naszej historii politycznej, wojskowej, społecznej, gospodarczej, naszej kultury, nauki i sztuki od początków państwowości aż do czasów obecnych.

Przed wojną ukazały się cztery tomy i cztery zeszyty tego wydawnictwa, obejmujące w porządku alfabetycznym życiorysy od litery A do Dr, razem około 4500 biografii. Całość obliczona jest na 20 tomów i ok. 20 000 życiorysów. Wydawnictwo ukazywało się w zeszytach, z których każdy zawierał ok. 180 życiorysów. Polski Słownik Biograficzny stworzył na gruncie naszym wzór naukowy pracy zespołowej, skupiał bowiem pod kierunkiem Komitetu Redakcyjnego (17 członków), a pod patronatem Rady Naukowej (ok. 50 członków) — blisko 750 współpracowników z całej Polski.

Każdy naród o wyższej kulturze postarał się już o wydanie swojego słownika biograficznego. Polska skutkiem katastrof politycznych, dopiero od r. 1935 mogła zacząć realizować takłe przedsięwzięcie, ale za to postawiła je od razu na wysokim poziomie. Inwazja niemiecka przerwała pracę i zagrożiła jej podstawom. Dziesiątki współpracowników padły ofiarą wojny i hitlerowskiego terroru. Zniszczone zostały lub unieścieplone różne archiwa i zbiory, z których Słownik czerpał materiały. Ocalało na szczęście archiwum Polskiego Słownika Biograficznego, dzięki czemu Redakcja po przełamaniu pierwszych trudności przystępuje

obecnie do kontynuacji wydawnictwa. Wiadomość o oddaniu do druku kolejnego zeszytu P. S. B. (zeszyt 25) wywołała niewątpliwie radostny oddźwięk wśród licznych przyjaciół i odbiorców wydawnictwa. Tempo jednak i poziom zależeć będą od środków pieniężnych Akademii, oraz od poparcia, jakiego mu udzieli społeczeństwo.

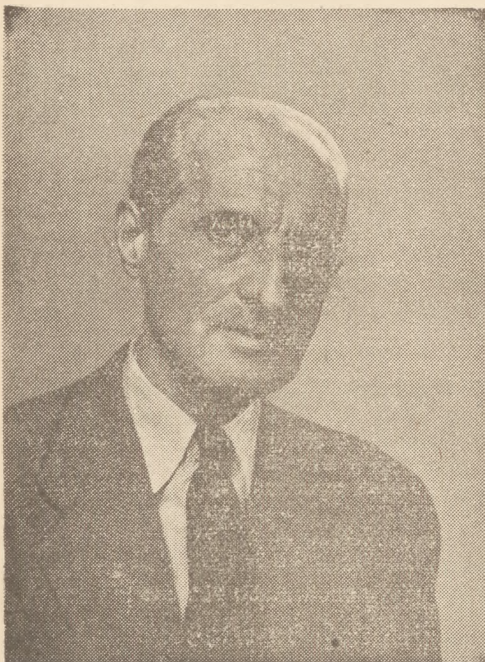
Redakcja Polskiego Słownika Biograficznego, zwraca się tedy z apelem do szerokich sfer zainteresowanych w rozwoju naszej kultury, a zwłaszcza do zarządków bibliotek naukowych, oświatowych, fabrycznych i szkolnych, zarówno państwowych jak i samorządowych, o przystąpienie w charakterze stałych prenumeratorów do budowy tego wielkiego dzieła.

Polski Słownik Biograficzny będzie wychodził nadal w zeszytach, dając na razie, ze względu na trudności techniczne, nie pięć ale trzy zeszyty rocznie. Nakład słownika będzie ze względu na konieczność oszczędzania papieru i koszty druku ograniczony. Polska Akademia Umiejętności pragnie go dostarczać do istotnego zapotrzebowania bibliotek i czytelników. Cena najbliższego zeszytu w prenumeracie wynosić będzie ok. 200 zł. Nowi prenumeratory otrzymają prawo pierwszeństwa w zaopatrzeniu się po niższych cenach w przedwojenne tomy Słownika. Prenumeratory przedwojenni będą mieli możność uzupełnienia kompletów zniszczonych.

Zgłoszenia prenumeraty przyjmuje biuro Redakcji, mieszczące się w gmachu Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, ul. Sławkowska 17, i ono też udziela wszystkich niezbędnych informacji.

Z teatrów krakowskich

ŚMIECHY I ŚLUBY



JULIAN TUWIM
znakomity poeta, po 7-letniej nieobecności powrócił do kraju

tym pytaniu i odpowiedzi. Jest w tej mierze u katolików coś w rodzaju poczucia misji. Katolicy milcząc przyznają, że nie katolicyzm dokonał w Polsce i gdzie indziej przemiany społecznej. Głośno, szczególnie ks. Piwowarczyk, wskazujący na encykliki papieskie, dowodzą, że Kościół uczestniczył w tej przemianie, a przynajmniej ją rozumiał. Ale katolicyzm ma szacunek dla człowieka i po dokonanej już przemianie pragnie nadal utrzymać opiekę nad prawami osobowości.

Dlatego to również inni z mówców lewicy powracali do tego problemu. Otwinowski przypominał, że personalizm nie zawsze był tak gorącą troską i bronią katolików. Dopiero kiedy Kościół znalazł się w defensywie, przypomniał sobie humanizm personalistyczny, którego pochodzenie jest przecież świeckie, rodem z humanizmu renesansowego, jako określonego zjawiska historycznego. Także bezwzględny, nieledwie metafizyczny humanizm nie zawsze przez katolików polskich odczuwany tak, jak obecnie cenią go intelektualści — budził nieufność i to niedawno, przed samą wojną. Na inny wykład problemu, doniosły dla kwestii wzajemnego zaufania, dla lojalnej oceny intencji, wskazuje Grzybowski. Gdybyśmy z uspołecznieniem fabryk mieli czekać aż kapitaliści przemienią się i dojrzą moralnie, nigdy by do uspołecznienia nie doszło. Ale mimo to nie twierdzimy, jakoby katolicka troska o prymat wewnętrznej przebudowy moralnej była jedynie mistyfikacją dla obrony interesów kapitalistycznych. Jeżeli nawet bywa tak wyzyskiwana przez czynniki postronne, intencja prawdziwych katolików jest w tym względzie na pewno czysta.

DŁUŻEJ PISARZA, NIŻ DYGNITARZA

Kiedy na drugim z zebrań ktoś z katolików wyraził żal, że dyskutuje się problemy polityczne pod nieobecność kompetentnych w tej mierze osób, żal i wątpliwość, czy wobec tego dyskutować warto, T. Breza przerwał mu słowami: dłużej pisarza, niż dygnitarza. Jest w tym powiedzeniu coś więcej niż dowcip i tak też memento Brezy odczuł zebrań: jako pewne określenie sensu takich spotkań.

Praktyczny i doraźny ich sens jest niewątpliwie poza zasięgiem dyskutujących intelektualistów. Mogą oni stwierdzić, że w braku konkordatu panuje w Polsce między państwem a Kościołem stan *ex lex* i mogą co najwyżej zaznaczyć, że są w tej kwestii optymistami, jak to np. uczynił J. Sieradzki. Sens takich spotkań jest inny: pod koniec drugiego z zebrań formułował go J. Zagórski: jeżeli sprawa polityków jest realizacją, dobrym prawem a nawet obowiązkiem intelektualistów jest przygotowanie dla nich pewnego materiału, pewnego szkieletu planu działania. We wziętym stosunku socjalizmu, komunizmu i katolicyzmu plan ten posiada dwie płaszczyzny. Jedną wybiega daleko w przyszłość: każdy z mówców lewicy oświadczał, że w przyszłym świecie, całkowicie zsocjalizowanym, wyobraża sobie doskonale istnienie i rolę katolicyzmu i chrześcijaństwa. Kościół posiada mądrą umiejętność godzenia się z faktami nieodwołalnymi, a zadań moralnych dla niego nie zabraknie.

Lecz oprócz przyszłości dalekiej jest przyszłość najbliższa, ta przyszłość, która właściwie należy do naszego dnia dzisiejszego. Terazniejszość zaś należy interpretować za pomocą elementów terażniejszości — w takiej formule ujął ten problem Grzybowski. Jak to czynić, oto zadanie dla intelektualistów i pisarzy obydwu obozów. Ich obowiązkiem jest stworzyć przynajmniej pewne warunki wstępne współpracy: szacunek dla cudzych poglądów, co przy polskim zadrężeniu i nieufności już wiele znaczy i zapowiada.

Dlatego zebrań będą kontynuowane jesienią, a ich hasłem pozostaną zapewne słowa rozstania: dłużej pisarza, niż dygnitarza. Powiedzenie, warto to zapamiętać, ściślej wzorowane na przysłowiu, które brzmi: dłużej klasztoru, niżli przeora...
Kazimierz Wyka

Niedawno została u nas wprowadzona w życie nowa ustawa małżeńska. Nie chcąc być obcym temu zdarzeniu, Teatr Kameralny Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego wystawił „Nową umowę małżeńską” Shawa, w której pod adresem instytucji małżeństwa padają same bardzo sceptyczne słówka. Widząc jak się rzeczy mają, teatr im. Słowackiego zareagował na fakty powyższe wznowieniem „Kandydy” tegoż autora, sztuki zdecydowanie promalżeńskiej. Tak się przynajmniej inkryminowane sprawy przedstawiają, kiedy w nie wniknie szukająca wszędzie celu i porządku myśl krytyka.

Małżeństwo to temat dla Shawa idealny. Shaw może sobie z niego kpić ile chce, krzywdy mu nie zrobi. Małżeństwo ma w Anglii pozycję murowaną, podobnie jak murowaną pozycję mają w Anglii klasy posiadające i podobnie jak murowaną pozycję ma w Anglii sama Anglia. Stosunek Shawa do podobnych instytucji jest szczególny. Shaw ma je na wątrobie. Wypowiada pod ich adresem wiele impertynencji. Jest wobec nich skrajnie niegrzeczny, jak mógłby być wobec własnych ciotek. Ale w jego irytacji nie ma nic ze świętego oburzenia. Nie można sobie wyobrazić Shawa na czele jakiejś krucjaty, z krzyżem, mieczem albo kijem w rękę. Shaw łatwo kipi, ale tylko intelektualnie. Kipienie obraca się u niego w sarkazm albo dowcip. Gdy Molier w rzeczach, które go oburzają, widział przede wszystkim krzywdę, Shaw widzi nonsens. A tymczasem to nie jest takie pewne, czy ludzie, którym przedstawimy dowód, że jakaś rzecz jest nonsensem, zareagują wyrokiem skazującym!

Boy wyznawał pogląd, zresztą dosyć tradycyjny, że śmiech zabija. Jako przykład podawał, że Molier zabijał śmiechem, że zabijał śmiechem również Beaumarchais i inni. Temu poglądowi można jednak przeciwstawić pogląd odmienny. Pogląd, że śmiech jest bronią zupełnie niewinną. Kiedy zaczynamy się z kogoś śmiać, zawsze nam go potem trochę żal. Bo nie podobna być śmieszny, nie będąc ludzkim. Nie podobna wzbudzać sobą śmiechu, nie wzbudzając litości. Śmiech zresztą nie jest jeden. Śmiechów jest cała gama. Zaczyna się od śmiezków zupełnie przychylnych, kończy się zaś na śmiechach rzeczywistych sarkastycznych i szyderczych. Ale pozostańcie do rzeczy wątpliwej, czy te śmiechy są istotnie śmiechami. Jak na śmiech, są za gorzkie i trwają za krótko.

Warto też zauważyć, że rewolucje się nie śmieją. Francuski „ancien régime” był cały nasycony śmiechem. Przyszła wielka rewolucja i śmiechy ucięła jak nożem. I tak samo czyniły wszystkie rewolucje w późniejszych czasach. Nawet ta nasza, którą obecnie przechodzimy i która jak na rewolucję jest naprawdę łagodna (z tym, że oczywiście jak na normalną zmianę stosunków jest gwałtowna), nie walczy śmiechem. Nikogo śmiechem nie próbuje zabić. Cóż więc to mi za broń, ten śmiech, która wypowiada posłuszeństwo ilekroć sytuacja robi się poważniejsza! Broń do użytku tylko na czasy pokojowe, to nie jest żadna broń. I też tak jest! Śmiech jest bronią słabutką. Jeżeli zaś Molier, biorąc historycznie, rzeczywistnie okazał się niebezpiecznym wrogiem pewnych instytucji i pewnych ludzkich gatunków, to dlatego, że zabijał swoim oburzeniem i tym, że palcem pokazywał jakąś krzywdę. Dlatego też, gdybym osobiście był Wielką Brytanią, albo gdybym był wędzem małżeńskim, albo gdybym był arystokratą i lordem, snu by mi Shaw nie mącił. Kto wie nawet, czy by mi go nie słodził. Bo pamiętajmy, że śmiech, jeżeli nie jest wrogiem, może czasem być bardzo dobrym przyjacielem! Robi się z niego klapka bezpieczeństwa. Dlatego wydają mi się tak słuszne słowa pewnego monarchy południowo-niemieckiego, który powiedział: „Jestem teraz zupełnie pewny bezpieczeństwa wśród moich poddanych; oni sobie ze mnie kpią!”

„Kandida” należy do wczesnych komedii Shawa, do tych komedii, które odbywają się w świecie zdarzeń możliwych. Do tych komedii, w których Shaw nie stara się z widza robić wariata. Tego jednak nie da się powiedzieć o „Nowej umowie małżeńskiej”. W tej sztuce po dwu aktach, bardzo paradoksalnych, ale z gruntu dorzecznych, następuje akt trzeci, śmieszny i świetny, lecz wyraźnie już napisany z poduszczaniem tego szatana niedorzeczności, któremu począwszy od pewnego wieku zaczął hołdować Shaw. Nie on jeden! Owego szatana wytrwale trzymał się również nasz Stanisław Ignacy Witkiewicz. Czy by go kiedy nie zagrał? Jego ostatniej „Sonaty Belzebuba” albo „Szewców”. Są tam, akurat tak jak u Shawa, i rzeczy genialne i rzeczy durne. Ostatecznie, jeżeli już mamy grać narwanego, dlatego to musi być koniecznie cudzoziemiec!

„Kandida” osiągnęła już 50 lat! A nie ma w niej ani odrobiny starości. „Umowa” też ma swoje lata. I do dziś zachowaną młodość! Ktokolwiek bądź zabiera się do pisania, widać się długo w Shawa wśluchiwać. Jak on też płodził te swoje sztuki, że tak nie a nie

nie zwietrzały! Nie ma w nich prawd, nie ma szczerości, nie ma żadnego istotnego i serdecznego przejęcia się tematem, nie ma żadnej pasji. Bez tego wszystkiego widać dzieło może żyć, jeżeli zamierza żyć wiecznie. Ale nie może bez jednego. Na to zdaje się wskazywać przykład Shawa: — Nie może żyć bez inteligencji. Jeśli ma żyć trwale! Elementy intelektualne, gra intelektualna, typ spostrzeżeń, które pomaga artyście wprowadzić jego inteligencja, okazują się szczególnie czasoszczelne. Pozostaje to zresztą w zgodzie z ogólną tendencją rozwojową sztuki w cyklu historycznym, który przeżywamy. Czasy się racjonalizują i sztuka też. Sztuka nabiera sensu, jeżeli uda się jej uchwycić sens czegokolwiek bądź. Choćby tylko, tak jak u Shawa, uchwycić sens chwili w życiu jakiegoś człowieka, sens jakiegoś zdarzenia, jakiegoś prawa tylko na moment. Nawet takie uchwycenie, jeżeli jest inteligentne, jest trwałe.

Teatry krakowskie przygotowały oba przedstawienia Shawa dobrze. I jedno i drugie wyreżyserował W. Biegański, pilnie bacząc, aby dialog wypadł tak jak trzeba u Shawa, to jest jak najbłyskotliwiej. Ale ponieważ Shaw mówi więcej rzeczy sprytnych, aniżeli rozumnych, trzeba go grać stosunkowo szybko. Tak aby widz się roześmiał, zachłynał jakimś powiedzeniem, ale nie mógł się namyślić. Dlatego w „Kandidzie” podpedziłbym tempo. Będąc Dzieciuszykiem nie nachodziłbym tak gwałtownie Zahorskim, a będąc Zahorską nie wpaadałbym w trans tak długotrwały i realistyczny. W „Umowie” doskonałym i z subtelnością mówiącym swoje teologiczne kawały biskupem był S. Orzechowski, braćmi jego: J. Jaroń, koncertowo grający rolę rogowca, któremu rozum mówi jedno a serce co innego, oraz K. Brodzikowski, który jak na stosunki polskie zachycając się przedstawiał jako generała, ale jak na stosunki angielskie nieświeżo się zachowywał jako Anglik. W tej mierze trudno cokolwiek bądź zarzucić L. Petekiemu. Wybornie podchwycił ten typ ludzki, w który specjalnie obfituje Anglia, gadułów, swoim zachowaniem i tonem podkreślających jacy to oni są powściągliwi. Dzieciuszycki zagrał rolę młodego arystokraty jak gdyby niczym innym nie był od urodzenia. Pełną werwy bigamistką z przekonania była B. Sławińska-Zielińska. W epizodycznych rolach zwrócili na siebie uwagę S. Zbyszewska oraz A. Cyprian w roli fanatycznego ojca Antoniego, wroga grzechu, pokus, kobiet i ciała. Dekoracje K. Gajewskiego ładne i harmonijne.

„Kandida” jest spektaklem o klasie również wysokiej. Rolę tytułową kreuje w nim Zofia Jaroszevska. To na pewno najbardziej reprezentacyjny aktorski talent kobiecy jej pokolenia w Krakowie, a może w Polsce. Ale to również talent podobny do tytułatury owych radeów dworu za czasów austriackich, powiadającej o nich, że są „rzeczywiści i tajni”. Zwolna zaczyna się podobnie przedstawiać sprawa z wielkim i rzeczywistym talentem Jaroszevskiej. Staje się on tajny! Ogląda go mało kto. Bo Jaroszevska rzadko występuje. A poza Krakowem — nigdy. No, ale skoro już raz wystąpiła, skończmy z rozważaniem sprawy, dlaczego jej najczęściej nie ma, opowiedzmy raczej, jaka jest, skoro już jest.

Jej Kandida jest ciekawa, konsekwentna, ale dla męskiego widza upokarzająca. To żona pastora, znakomitego kaznodziei, który ani na chwilę nie schodzi z piedestału i który ani na moment nie przestaje żyć lepszą połową swojej istoty. Do jego domu dostaje się młode poetyckie szczenię z genialnym nosem do ludzi, z nosem do wszystkich subtelnych spraw i wszystkich zawiłych sytuacji. Ten poeta zakochuje się w Kandidzie. I z naiwną, młodzieńczą, bezkompromisową odwagą powiada pastrowi prosto w oczy, że pastor jest człowiekiem dętym. Ze rzuca się, że gada, że coś tam rozbudowuje w świecie, kto to może o tym wiedzieć, czy realnym! Od tego ciosu pastor zachwiewa się w swojej wierze we własną osobę i we własne dzieło. Poecie przez chwilę wydaje się, że odnosi tryumf. Wieczór spędza sam na sam z Kandidą, której czyta wiersze. Z Kandidą, która jest najbardziej poetycką i jedną z najbardziej porywających postaci w teatrze całego świata. Ale to postać kobieca A kobieta we wszystkich postaciach ma jeden tylko sposób na tysiące podobnych męskich głupstw, jck czytanie wierszy, wypowiedzianie kazań, recytowanie różnych mądrości, na te różne męskie wzloty, szczydła, na chodzenie z głową w chmurach. Ten sposób — przeczekać! Z beźmierną kobiecą dobrocią i takąż kobiecą świętą obudą. Na tych strunach Jaroszevska gra jak nikt. Jej Kandida to pani, która żadnych męskich spraw nie bierze na serio. Z mężczyzny bierze serio tylko samego mężczyznę.

Partnerami Jaroszevskiej byli: W. Nowakowski i J. Kaliszewski. Nowakowski był doskonałym wcieleniem człowieka, który robi w życiu takie niepotrzebne rzeczy i niestety

samo także, które są nudne. Młodzieńskim poetą był Kaliszewski, na którym tym razem rola jego leżała jak ulał. W roli Prozerpiny Garnett, zakochanej w pastorce sekretarki, wystąpiła M. Bednarska, talent charakterystyczny absolutny i świetna vis comica. W epizodzie wikariusza, szczerzej i czystej duszy, zasłużył sobie na mile słowa K. Podgórski.

Dekoracje Karola Frycza pełne smaku i charakteru.

Tadeusz Breza

KORESPONDENCJA

JESZCZE O „IGRASZKACH WYDAWNICZYCH”
Do redaktora „Odrodzenia”

Z dużym zajęciem i niemalym pożytkiem przeczytałem w nr 22 (79) „Odrodzenia” artykuł W. Kubackiego o „Igraszki wydawniczych”, wywołany tekstem „Pana Tadeusza”, który — jak głosi przedmowa — „przejrzał i przygotował do druku profesor dr Juliusz Saloni”.

Krytyk stanął w swych uwagach na słusznym stanowisku, domagając się ścisłości w pracach nad dziełami naszych znakomitych pisarzy. Ale jak ścisłość, to ścisłość — a tę nie wszędzie udało mu się zachować. Pomijając więc omyłkowe przypisanie wydania sejmowego W. Bruchnalskiemu, spisanie wydania St. Pigoń, nie sądzę, by słuszną była uwaga krytyka, iż wydawca zgryzeszył, gdy w przypisach przytoczył tylko rzeczownik żeński „kontuza”, pominał zaś jego męską oboczność „kontuz”, niezbędną jakoby, bo pierwsza „nie tłumaczy mickiewiczowskiego dopełniacza liczby mnogiej: kontuzów”. Ja myślę, że to wszystko jedno, w „Panu Tadeuszu” bowiem w przypadku tym rzeczownik żeński przybierał niejednokrotnie końcówkę męską; czytamy tam więc „zamieszaków”, „Alpów”, no i w ustępie, przez krytyka pomysłowo objaśnionym, mamy: „figatelów — pinelów — brunelów” a nie „figatel, pinel, brunel”.

Co dziwniejsze, krytyk przeczytał najosobliwsze chyba niedomaganie wydania Łódzkiego, świadczące, że dzisiejsi profesory nie mają czasu na dopilnowanie korekt. Na stronach mianowicie 292 i 293 zecer dziwnie poprzestawiał objaśnienia; koniec tedy przypisów do księgi XI, zaopatrzone odsyłaczami 13—16, dotychczas do objaśnień księgi X, odpowiadające im zaś odsyłacze do ks. X wsadził pod księgą XI. Wskutek tego czytelnik, znajdujący na str. 213 odsyłacz do „kasztelana witebskiego”, w objaśnieniu dowiadyuje się, co to jest „rubront”, a czytelnik, który chce się dowiedzieć w ks. XI, co to jest „czaprak”, dowiadyuje, co to był „Szpilberg”.

Nie będę zapuszczał się w dalsze wylizanie niedokładności wydania „poprawionego”, nie starczyłoby bowiem dla nich nie tylko spalaty w „Odrodzeniu”, ale nawet znanej z przypisów wolewej skóry.

J. K. Dębowski (Warszawa)

WYJAŚNIENIE

Do redaktora „Odrodzenia”

W nr 25 (82) „Odrodzenia” z dnia 23 czerwca br. czujny jaszcz poświęcił mi w „Przeglądzie prasy” sympatyczną wzmiankę, która jednak w pewnym szczególe wymaga zasadniczego sprostowania.

Jaszcz pisze (na podstawie pogłosek), jakoby miał być ścigany surowymi zarządzeniami władz kościelnych. Szkoda, że przed napisaniem tych słów nie porozumiał się ze mną.

Po napisaniu i wydrukowaniu muszę na nie zareagować i stwierdzić, że mój Biskup-Ordynariusz jest człowiekiem światłym, byłem profesorem uniwersytetu, o dużej kulturze osobistej i nie posuwałby się do ścigania mnie surowymi zarządzeniami za moją propagandę radykalnego katolicyzmu (według wzoru M. R. P.) w Polsce.

Przeciwnie — po ukazaniu się w obiegu księgarskim mej broszury pt. „Katolicy radykalni” — napisał do mnie bardzo serdeczny list. Stwierdza w nim wprawdzie (na marginesie), że broszura „zrobiła trochę zły krwi w Krakowie”, — ale sam ustosunkował się do niej inaczej i żadnych surowych zarządzeń nie wydał.

Ponieważ słowa Jaszczka mogłyby wywołać niepożądane komentarze, dlatego bardzo proszę o umieszczenie powyższego wyjaśnienia.

ks. Henryk Weryński (Kraków)

W poprzednim 26 (83) numerze „Odrodzenia” z dnia 30 czerwca 1946: Julian Tuwim: Kwiaty polskie. Epilog tomu pierwszego. — Julian Przyboś: Upowszechnienie czego? — Emmanuel Mounier (przełożyła Maria Stulgńska): Jak jest właściwie z tym egzystencjalizmem? — Wacław Zawadzki: Od Monachium do drugiej wojny światowej. Dlaczego doszło do paktu niemiecko-sowieckiego w 1939 r. — Wincenty Styś: Perspektywy ludnościowe Polski. — Z Salonu Wiosennego w Warszawie (Jerzy Fedkowicz). — Zbigniew Bienkowski: Po wyborach w Niemczech. — Tadeusz Breza: Francuski krzyż i polski wiersz. — Stefan Flukowski: Tyran Legęda. — Nagroda literacka „Odrodzenia”. — Henryk Vogler: O mitologii i realizmie. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia”. (Zofia Bronikowska, Wanda Brzeska, Eugeniusz Brzeziński, Emil Chybiński, Aleksander Korner Dobrowolski, Emil Piotr Erlich, Bronisław Kamiński, Włodzimierz Mikulowski, Michał Sabatowicz). — Marek Bosak: Zbuntowany hrabia. — Wacław Kubacki: Dr Prot Sowizdrzał i stonina. — Pisarze o głosowaniu ludowym (Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Breza, Tadeusz Dobrowolski, Eugeniusz Bibisch, Zygmunt Eja, Kornel Filipowicz, Stefan Flukowski, Krystyna Grzybowska, Tadeusz Holuj, Zdzisław Nardelli, Stefan Otwinowski, Marian Prośniński, Julian Przyboś, Józef Sieradzki, Jan Alfred Szczepański, Helena Wielowiejska, Witold Wirpsza, Kazimierz Wyka). — 14 ilustracji. — 12 stron.

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH
UKAŻE SIĘ

ARKADY FIEDLER
DZIEKUJĘ CI
KAPITANIE



SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»CZYTELNIK«

Przegląd prasy

W dyskusjach toczonej na temat założeń i celowości różnych wydawnictw współczesnych, typ jednych pism określać się zwykło jako „literacko-społeczny“, typ innych — z „Kuznicą“ na czele — jako „społeczno-literacki“. Werbalizm, rozróżnianie scholastyczne, niepotrzebna zabawa w przestawianie porządku dwu takich samych słów i pojęć? Jeżeli w „Kuznicy“ ukazują się proza artystyczna Rudnickiego, wiersze Jastruna czy Wazyka lub kolumna przekładów — są one tam tak samo na miejscu jak, powiedzmy, artykuł ks. Klawka „O nowym psalterzu“ w „Tygodniku Powszechnym“. Porządek rzeczy i ich procentowy dobór jest jednak ich hierarchizowaniem. Nagłówki „Kuznicy“ na ogół wiernie charakteryzują pismo. Linia polityczna „Kuznicy“ nie wyklucza, by ze szpałt tego tygodnika odzywali się Iwaszkiewicz, Zawodziński czy nawet Zagórski; nigdy się to nie dzieje kosztem ideowego kompromisu.

Dwa ostatnie numery „Kuznicy“ (24 i 25) są charakterystyczne dla jej dzisiejszego miejsca na ziemi. Najpierw — na pierwszej stronie wiersze, na środkowych opowiadanie prozą; a więc znaczne ustępstwo dla działu literackiego i jakby odchylenie od obranej linii. Chwilowe, bo już w następnym numerze widoczny jest nawrót do treści o wyraźnej przewadze tematyki społecznej; nawrót tym bardziej słuszny, że w poprzednim numerze wiersze były przedrukami (trudno być entuzjastą takich ułatwień), a proza artystyczna bieżącego numeru ma dość nieznaczny ciężar gatunkowy.

Jedną z najistotniejszych pozycji „Kuznicy“ w ostatnim okresie była dyskusja o młodzieży rozpoczęta głośnym „Pamfletem o młodszym bracie“ Żółkiewskiego. Artykułami Koźniewskiego, Juliusza Żuławskiego i Żółkiewskiego zamknięta obecnie „Kuznica“ tę dyskusję. Żółkiewski postawił końcową diagnozę i podał sposoby leczenia, ale, rzecz prosta, nie wyzerpał tematu. Jeszcze nie czas, aby sprawy młodzieży odłożyć do aktów. Dyskusja, przerywana w jednym, powinna być podjęta w innym czasopiśmie. Jedno jest bowiem pewne: zabiłanie się sporej ilości młodzieży w nastrojach i, żal się Boże, ideologii wstecznicwa, a równocześnie występującej tu i ówdzie merkantylizm i hedonizm, prowadzące aż do patologicznych objawów, nie pozwalają na optymizm.

Gdy „Kuznica“ porusza zagadnienia socjologiczne, idzie najbardziej po linii swoich celów i zadań. Stanisław Ossowski ostrożnie formułuje tezę, że socjologia polska mogłaby podjąć inicjatywę w sprawie założenia „trwałego, międzynarodowego środowiska badawczego w dziedzinie nauk społecznych“, powstanie takiego środowiska w erze atomowej jest nie tylko postulatem pracy badawczej, lecz zasadniczym programem politycznym.

W poprzednim numerze (24) ważne zagadnienie poruszył Stanisław A. Majewski w artykule „Współczesna polityka kolonialna mocarstw zachodnich“.

Jako źródła tanich surowców i rynek zbytu dla nadmiaru produkcji mają kolonie nie mniejsze dziś znaczenie (a raczej jeszcze większe) niż w okresie, wedle obrazowego określenia Majewskiego „szabru kolonialnego“. Autor omawia dwa systemy kolonialne (angielski i francuski) i stanowiący ich podstawę typ imperializmu. „Czymże bowiem są ostatecznie kolonie? Monopolem na eksploatację surowców, monopolem na inwestycje kapitału, monopolem na eksport i import. Monopolizm w koloniach uzupełnia doskonale monopolizm w krajach macierzystych. Kapitalizm monopolistyczny i imperializm kolonialny są to bracia syjamscy, z których jeden drugiego żyć nie może“. Autor daje równocześnie przykłady rozkładowego wpływu, jaki imperializm kolonialny wywiera na mentalność nawet proletariatu. „Czy narody zachodnio-europejskie wysuną odpowiednią naukę z tych doświadczeń?“ Autor nie pisze o najważniejszej zmianie, która rewolucjonizuje politykę kolonialną: o dojrzewaniu społeczno-politycznym t. zw. ludów kolorowych.

Zdobywanie kolonii było ongiś rzeczą nader łatwą: wystarczyło mieć trochę kapitału, sprytu, przedsiębiorczości i awanturników na żołdzie; wspomniana przez Majewskiego bitwa pod Plassey'a, która wydała w ręce Anglików całą Bengalę, kosztowała życie 9 żołnierzy. I później, w niezłych czasach, 200 tysięcy Anglików mogło utrzymać w ryzach całe Indie, a prywatna administracja Leopolda II całe Kongo. Dzisiaj trzeba bronić kolonii nie tylko przed mocarstwem rywalem, ale przede wszystkim przed tubylcami, którzy „dorastają“. Poza Środkową Afryką przed narodami kolonialnymi otwierają się możliwości uzyskania pełnej niepodległości. Ostatnia próba stworzenia imperium kolonialnego dawnego typu zalamana się wraz z faszyzmem System starokolonialny musi zatem przejść na metody kapitalistów amerykańskich, które anno 1946 obdarowują niepodległością Filipiny, widząc w takim ufaskaniu jedyną drogę do przedłużenia pokojowej supremacji gospodarczej. Stracone złączenia: po zburzeniu politycznej, przyjdzie czas na obalenie i gospodarczej niewoli; co prawda, nie od razu.

Ten sam temat kolonialny porusza Witold Wudel w „Lewym Torze“. Pisze on słusznie

o „wstecznicwie kolonialnym“ i wyraża słuszny pogląd, że „imperia kolonialne nie tylko zostały gruntownie osłabione w ogólnym układzie sił światowych, lecz także podminowane socjalnie od wewnątrz. Calokształt sytuacji ludów kolonialnych skłania do optymistycznych wniosków. Stare władztwo imperialne w koloniach jest nie do utrzymania“.

Dobrze się stało, że aż dwa czasopisma przerwały milczenie, jakie, jeśli chodzi o zagadnienia kolonialne, zapanowało u nas (poza paru artykułami w „Dzienniku Polskim“ i w „Rzeczypospolitej“). W okresie międzywojennym, gdyśmy równie ambicjonowali się kolonialnie („Liga Morska i Kolonialna“ — pomyśły angolańskie i liberyjskie), problem ten wiele wywoływał szumu i nie wydawał się egzotyczny. Dziś projekty kupna Angoli i przyłączenia Liberii do Polski spoczęły w koszu — ale za to zwiększyło się poczucie jedności świata.

Końcowe „noty“ „Kuznicy“ mają swój określony, polemiczny charakter. „Problem ostatniej strony“ dyskutowany był już nieraz, świeżo nawiązał doń Paweł Jasienica w „Tygodniku Powszechnym“, nr 66. P. Jasienica jest zachwycony „energicznym często tonem polemicznych artykułików prasy katolickiej w Polsce; jest on dowodem, że obóz ten przeszedł ciekawą i pożądaną ewolucję, nabrał świeżych rumieńców życia, i unowocześnił swoje narzędzia walki“. Pod adresem przeciwników kieruje więc autor monit, by, zamiast krytykować tę ostrość tonu, jeli „szukać ciekawą i trafnej odpowiedzi; tylko że nie każdego na to stać“. Autor artykułiku myli się, przypisując „rewolucjonizm“ (jak nazywa obóz postępu społecznego) brak temperamentu. Dowodem ostrości ale sprawiedliwa „nota“, przy pomocy której rozprawia się rkm w „Kuznicy“ z istotnie oburzającym i głęboko niemoralnym artykułem Edwarda

Jaszczyka w „Życiu Literackim“ (nr 10). Prawo ostatniej strony jest miłym przywilejem czasopism; byle nie usiłowało owładnąć pierwszymi stronami. W swoim czasie było to niebezpieczeństwo aktualne; dziś niewątpliwie nie zagraża.

Zwracano niejednokrotnie uwagę na dominującą rolę środowisk literackich i wydawniczych w Krakowie i Łodzi kosztem słabości środowiska warszawskiego („w okresie bezpośredniej odbudowy, nie ma czasu na nadbudowę“). Ogromny wzrost ilości czasopism wydawanych w Warszawie zdawałby się już dzisiaj przeczyć temu twierdzeniu, mającemu odpowiadać prawdzie chyba dłużej, niż przez jeden rok. Ale ilość nie zastąpi jakości. Po rozczarowaniu, jakie sprawił „Lewy Tor“, dalsze rozczarowania jakby ilustrowały prawo serii. „Lewy Tor“ prowadzi do określonego celu, ale przez niezbyt ciekawe okolice. W ostatnim (4—5) numerze Waclaw Bielecki kończy swoje rozważania o „Starej i nowej demokracji“. Tezy i wnioski autora nie mogą z natury rzeczy odbiegać od formułowanych niejednokrotnie stwierdzeń, że np. „państwo w demokracji ludowej nie jest dyktaturą proletariatu, nie jest więc i demokracją proletariacką“, lub że „istnieją wszystkie szanse, że demokracja ludowa będzie okresem pokojowego wewnętrznego rozwoju, że unikniemy nowych wstrząsów wewnętrznych i rewolucji“. W tym numerze popularystyczne, rozsądne uwagi Bolesława Dudzińskiego o Przybosiu, oraz próba wskrzeszenia w pamięci czytelników Ludwika Stanisława Licińskiego, epigona Młodej Polski, anarchizującego, spóźnionego dekadenta; mianowany takie okresy w naszym życiu, gdy zachwycamy się Licińskimi, Szandlerowskimi, Micińskimi i Żyznowskimi (w dość wczesnej młodości). Nie jest jednak celowe porównywanie Licińskiego z Heinem, Whitmanem, Tolstojem i Mul-

tatunim. Dział literacki reprezentują w omawianym numerze: słaba nowela Bratnego i afektowane opowiadanie Brzęczkowskiego.

„Lewy Tor“ daje niestety przykład czasopisma, które nie znalazło dla siebie drogi rozwoju. Przeciwnie niż np. „Kultura“, błądząca się z początku po omacku, a dziś będąca dobrym i pozytywnym pismem informacyjnym o kulturze radzieckiej. W numerze 7 — przekład artykułu Ilii Erenburga „Tryumf światła“, namiętej i patetycznej rozprawy z faszyzmem pisarza, który pamięta, że „droga do Oświęcimia wiodła przez Monachium“ i który kassandrycznie ostrzega przed próbami rozpoczęcia jej na nowo.

„Odrodzenie“ (nr 14) zwróciło uwagę na wysoki poziom i cenny materiał, zawarty w „Przeglądzie Socjalistycznym“. Paralelą do tego pisma, nawet zewnętrznie, jest „Trybuna Wolności“, organ Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej. Jeżeli znajomość „Przeglądu Socjalistycznego“ jest niewystarczająca i zbyt słaba w stosunku do wartości pisma, to samo da się powiedzieć o „Trybunie Wolności“. W dwu ostatnich (94 i 95) numerach tego dwutygodnika znajdujemy m. i. cenne artykuły Franciszka Fiedlera, fachowe, miarodajne informacje Jerzego Tepichta, dobrze redagowany dział „Na widowni międzynarodowej“. „Trybuna Wolności“ poświęca ostatnio dużo miejsca sprawie chłopskiej. Jerzy Tepicht pisze: „PPR — w zgodzie ze swym programem i ze swym socjalistycznym sumieniem — broni chłopskiej własności prywatnej. Wrogowie chłopskiej własności gromadzą się dziś — wraz z całym kapitalistycznym kulturowaniem — za parawanem PSL“.

Uskarżanie się na przestarzałość czasopiśmiennictwa jest powszechne i nie pozbawione pewnych racji. Nikt jednak nie wystąpił z takim argumentem wobec „Myśli Współczesnej“, czasopisma naukowego, którego pierwszy numer wyszedł z druku w Łodzi, podpisany przez kolegium redakcyjne w składzie: J. Chałasiński, F. Fiedler, N. Gąsiorowska, B. Kotarbiński, B. Krauze, A. Schaff, Z. Szymanowski, H. Ułaszyn, S. Żółkiewski, S. Erlich i J. Barski. Przedmowa redakcyjna wyjaśnia cel i charakter pisma. Ponieważ „brak dotąd pisma naukowego, które by ze stanowiska postępowego oświeciło wszelkie zagadnienia rzeczywistości przyrodniczej i humanistycznej“, „Myśl Współczesna“ ma zapewnić wciąż jeszcze istniejącą dotkliwą lukę. „Stoi ona na stanowisku swobody dociekań naukowych i pragnie przyczynić się do powstania w Polsce silnego i głębokiego nurtu twórczości naukowej“ oraz „pragnie stać się organem naukowym całej postępowej inteligencji polskiej“.

Jakie są osiągnięcia pierwszego numeru? Powiedzmy od razu: wybitne, wyznaczające nowemu czasopiśmiu pozycję, jakiej nie zdołały zająć: ani Jeleniogórska „Nauka i Sztuka“ ani — tym mniej — czasopisma naukowo-popularystyczne czy naukowo-informacyjne. Przyczyn tego sukcesu wolno dopatrzeć się w skrytykowanym wyrazie ideowym nowego wydawnictwa: takie nastały czasy, iż akademickość i nadmierny eklektyzm prowadzą niemal automatycznie do zwąglania i słabości danego wydawnictwa. „Myśl Współczesna“ ma wszelkie dane, by stać się naczelnym organem nauki polskiej, nauki związanej z żywym nurtem twórczości a nie snującej swoich badań w hermetycznej izolacji. W pierwszym numerze największą uwagę budzą Józefa Chałasińskiego „Socjologiczne założenia reformy wychowania“ i Tadeusza Kotarbińskiego „Zasady dobrej roboty“.

Połowę obszernego zeszytu „Myśli Współczesnej“ zajmuje kronika. Poziada ona niewątpliwie tendencje „imperialistyczne“, t. j. zagarnia częściowo materiał publicystyczny, niekoniecznie na miejscu w czasopiśmie ściśle naukowym; uwagi te dotyczą zwłaszcza działu recenzji, gdzie znalazły się omówienia książek ściśle politycznych. Niezmiernie ważna jest natomiast „Kronika francuska“, obracająca się wokół „Manifestu Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego“. Imponujący jest wysiłek, z jakim lewica francuska usiłuje dźwignąć naród, zepchnięty w przepaść przez rozkład francuskiego mieszczaństwa. Dwieście lat temu zapoczątkowany ruch Encyklopedystów wyniósł Francję na czoło kultury i postępu świata; ruch Nowych Encyklopedystów nawiązuje świadomie do tamtych tradycji. Rzecz prosta, sytuacja ideologiczna jest inna i Francji trudno liczyć na odzyskanie miejsca, jakie ongiś zajmował racjonalizm francuski. Ale gdy manifest nowych encyklopedystów głosi, że „Francja to retorta genialnych myśli — kuźnica wszystkiego co twórcze i wielkie“, że „Francja nie dała jeszcze ludzkości wszystkiego, czym może wzbogacić jej dorobek“ i gdy woła „przygotujmy we wszystkich dziedzinach nowy rozkwit ducha francuskiego“ — czyż nie należy z najgłębszym szacunkiem patrzeć na naród, tak szybko otrząsający się z odretwienia, któremu na imię Vichy? Walka Francuzów o odzyskanie ideologicznej wielkości — prowadzą ją we Francji przede wszystkim komuniści — może się skończyć porażką; ale już dziś nie pozwala nikomu traktować Francuzów jako *quantité négligeable*.

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*

Ankieta „Odrodzenia“

Adam Bar: Podczas okupacji niemieckiej, jako pracownik Biblioteki Jagiellońskiej, miałem wyjątkowo ułatwioną pracę naukową, która była przede wszystkim pracą zbiorczą. Z czystym sumieniem mogę też powiedzieć, że mimo roboty podziemnej czasu na polu naukowym nie straciłem. Opracowałem tam esayssy z okresu walki klasycznej z romantykami pt. „Przekupki na Palmacie“ oparty na obfitym materiale rękopiśmiennym z Biblioteki Krasieńskich w Warszawie spalanej przez Niemców. Następnie przygotowałem „Sporę“ i „Studium nad powieścią polską“ zawierający trzy rozprawy o Dzierżkowskim, Szymanowskim i Zmichowskiej. Ukończyłem też ogromną pracę pt. „Bibliografia do dzieł filozofii w Polsce“ zawierająca około 100 arkuszy, którą będzie drukowała Polska Akademia Umiejętności. W r. 1943 zacząłem zbierać materiały do bibliografii historii literatury polskiej. Zgromadziłem dotąd przeszło 100 000 pozycji bibliograficznych. Pracę tę musiałem przerwać, ponieważ nie dała się ona pogodzić z koniecznością przygotowywania wykładów uniwersyteckich. Obecnie pracuję nad pozytywizmem polskim i Al. Świętochowskim.

Helena Gajewska: Obecnie przygotowuję do publikacji dzieło o histologii w języku polskim, rzecz ma być traktowana porównawczo. Równocześnie mam gotową do druku rzecz o transplantacji oka u axolotla, nie mam jednak funduszy na wydrukowanie tej broszurki. — Czy „Odrodzenie“ nie pomogłoby mi w tej sprawie? Nadto mam szereg rozpoczętych prac z dziedziny histologii.

Zdzisław Hierowski: W najbliższych dniach ukaże się nakładem Instytutu Śląskiego w Katowicach w moim opracowaniu niewielka antologia poezji i pieśni pt. „Śląsk walczący“. Książka ta powstała w pewnym związku z niedawną rocznicą trzeciego powstania górnośląskiego. Ukaże się ona równocześnie w dwóch wydaniach: jednym, mającym charakter opracowania literacko-krytycznego i drugim, zmiennym, którego nie będzie w sprzedaży, lecz które zostanie rozprowadzone bezpośrednio po bibliotekach, szkołach i świetlicach, zwłaszcza na Śląsku odzyskanym.

Zasadniczo pracuję nad obrazem poezji śląskopolskiej od początków po czasy najnowsze. Praca jest już dosyć daleko posunięta i ma się ukazać w „Bibliotece Ziemi Odzyskanych“, o ile naturalnie odpowiadać będzie zamiarom wydawnictwa.

Przygotuję do druku zbiór szkiców zmarłego przed rokiem najwybitniejszego znawcy, piśmiennictwa śląskiego, Wincentego Ogrodzińskiego i szukam dla tej ciekawej i bogatej w treść książki odpowiedniego wydawcy. Co do moich prac własnych, stwierdziłem, że zebrał się już komplet szkiców, dających obraz literackiego Śląska od r. 1922 po dzień dzisiejszy. Może to będzie moja następna książka.

Ale na to wszystko trzeba czasu, jeszcze raz czasu. Maria Kasprzowiczowa: Mam gotowy cykl — sześć książek — napisanych w latach wojny. Straciłam na samym jej początku, w r. 1939, kilkanaście zeszytów napisanych w formie dziennika, jako dalszy ciąg tych, które wyszły z druku. Musiałam wszystkie zacząć od początku. Tym razem z konieczności, posługiwałam się formą pamiętnika, nadając całej pracy, pomimo jej autentyczności, charakter raczej powieściowy. Pracuję w dalszym ciągu nad tym cyklem, aby go wydoskonalić.

Jerzy Michalski: W Warszawie w r. 1944 spaliła się doszczętnie moja biblioteka wraz z materiałami do wielu prac, które przygotowałem.

Praca naukowa dla nas, pogorzelców warszawskich, jest niezmiernie utrudniona. Chciałem już dawniej i obecnie pragnę omówić w literaturze naukowej zjawiska semiologii, żywo interesujące świat naukowy Belgii i Francji, u nas dotąd w polskiej nauce „skarbowości“ zupełnie nieporuszane, wzorowane na nauce wytrzymaniałości technicznej — którego celem jest wskazanie granic dopuszczalnego obciążenia podatkowego — gospodarstwa społecznego. Zdobycie jednak potrzebnej literatury natrafia na ogromne trudności.

Marian Tyrowicz: Wydaję dwie prace z zakresu historii politycznej nowoczesnej, obie poświęcone wydarzeniom „Wiosny Ludów“. Drukuje się studium historyczno-polityczne o mało znanym a niezwykle doniosłym w dziejach formowania się polskiej prawnicy i lewicy zjawisku: zjeździe polityków polskich we Wrocławiu w maju 1848 r. Kongres ten miał na celu utworzenie międzyzwiązkowego rządu narodowego a związane z jego organizacją zabiegły wszystkich ważniejszych stronnictw w kraju (po części i emigracji) objęły rzecz jasną — wiele pierwszorzędnym problemom politycznym ówczesnej Polski. Pod względem formalnym studium to, powstałe w ubiegłym bieżącym roku, jest odbiciem warunków, w jakich nowożytni historycy

polscy prowadzą obecnie swoje studia: zniknięcie wielu archiwów krajowych, niemożność dotarcia do zagranicznych, rozbiłki bibliotek (zwłaszcza z działami rękopisów), pogubienie w zawierusze wojennej wielu własnych, nieraz przez lata kompletowanych materiałów, brak czasopism fachowych i pomocy w zakresie bieżącej bibliografii. Niemniej jednak wyszkanie przez mnie manuskryptów Biblioteki XX. Czartoryskich i współczesnej bibliografii dało w rezultacie obraz nieznaną dotychczas kampanii politycznej dwu obozów o podstawowym znaczeniu. Druga praca, mająca w niedługim czasie wejść pod prasę — to przystępnie opracowany obraz rewolucji europejskiej 1848/1849 r. na wszystkich jej najżywczej terenach. Monografia ta, aczkolwiek ujęta popularnie, oparta jest na najnowszych badaniach przedmiotu, które postępują niejedną falą czy nieścisłością starszej generacji historyków 1848 r.

W chwili obecnej pracuję nad dwoma tematami. Pierwszy z nich — to historia działań rewolucyjnych na Śląsku w latach budzenia się świadomości narodowej Ślązaków, 1845—1849 i rodzającego się udziału żywiołu polskiego w tamtejszym ruchu robotniczym (praca skonfrontuje po raz pierwszy w naszej literaturze wyniki dotychczasowych badań polskich i niemieckich). Drugi temat łączy się z obszarem, kiedyś centralnym, dziś kresowym (Lubelszczyzna) i dotyczy konspiracji ludowo-powstańczej ks. Piotra Sciegieńskiego na tle ówczesnych dążeń niepodległościowych i demokratycznych. Wszystkie wymienione prace są zamówione przez wydawców. Poza tym odesłałem do druku szereg artykułów mniejszych i rozpraw, m. i. artykuł o roli Śląska w rewolucji 1848 r., sporo życiorysów dla Polskiego Słownika Biograficznego, kilka recenzji i nekrologów.

W planie moich prac na dalszą metę figuruje zadanie, wymagające wiele wysiłku i to zespolowego, znacznego wkładu czasu i funduszków: historyczny katalog prasy polskiej od jej początków do chwili obecnej. Wielokrotne własne doświadczenie z kłopotliwą i najcięższą zawadką kwerendą przy przygotowaniu różnych tematów z historii porzobiorowej — natężyły mnie myślą podjęcia tej pracy. Początki już zrobione; przypuszczalnie 1/3 czasu wszystkich pozycji (o dokładnej liczbie cyfrze trudno w tej chwili mówić) jest już przede mną zebrana. Katalog obejmie nie tylko opis bibliograficzny organów prasowych, lecz i ich dane historyczne oraz najważniejszą literaturę.

Stanisław Ziemecki: Piszę książkę „Prawa natury“. Inicjatywa wyszła ze strony „Mathesis Polskiej“, która stanowi obecnie do pewnego stopnia autonomiczną komórkę Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“. „Mathesis“ pragnie stworzyć biblioteczkę naukową, która by przystępniejszym masom problematyki matematyki i nauk przyrodniczych, przy czym chodzi nie o wulgaryzację, lecz o popularyzację w dobrym znaczeniu tego słowa.

W „Prawach natury“, mniej więcej na 220 stronicach druku, zamierzam omówić wybrane zagadnienia fizyki klasycznej i nowoczesnej. Pragnąłbym oprzeć się na nielicznych odpowiednio wybranych faktach doświadczalnych i na ich podstawie wysnuwać wnioski, unikając dogmatycznego narzucania przyjętych w nauce poglądów, unikając też nadmiaru porównań, zaciemniającego bieg myśli. Mam nadzieję, że książka będzie mogła oddać pewne usługi również inteligentom starszego pokolenia, którzy pragną poznać, choćby w pierwszym zarysie, nowsze zdobycze nauki.

Poza tym zgodziłem się na współdziałanie w zbiorowym opracowaniu podręcznika fizyki doświadczalnej dla uniwersytetów; wydawnictwo to zostało podjęte przez Zjazd Fizyków Polskich i jest finansowane przez Ministerstwo Oświaty.

Wobec tego obciążenia pracą literacko-naukową (zwłaszcza, iż pracowanie „Praw natury“ zabiera znacznie więcej czasu niż przypuszczałem pierwotnie) nie wiem czy w roku bieżącym będę mógł jeszcze uczynić zadość życzeniom Spółdzielni Wydawniczej. Książka i napiszę rzecz popularną dla czytelników bardziej zaawansowanych w fizyce.

Co dotyczy prac czysto naukowych, zamierzam wznowić badania nad promieniami kosmicznymi; w tej dziedzinie już przed wojną osiągnąłem niejako wyniki. Na razie — mnożstwo przeszkód: przeciążenie pracą administracyjną, dydaktyczną, zarobkową (wiadomo, że uposażenie profesora stanowi niewielki ułamek dochodów przeciętnej krawca lub szewca). Istotna trudność wynika również z tego, że objąłem katedrę na uniwersytecie, gdzie laboratorium fizyczne we właściwym znaczeniu tego słowa należy dopiero stworzyć. Nie patrzę jednak w przyszłość pesymistycznie: nasz zakład nie posiada odpowiednich obrabiarek, lecz ma dobrego mechanika; trudności materialne nie będą trwały wiecznie. Obcowanie z młodzieżą akademicką w dużym stopniu przyczynia się do podtrzymania nastroju optymistycznego.

Muzyka polska na terenie międzynarodowym



ROMAN PALESTER

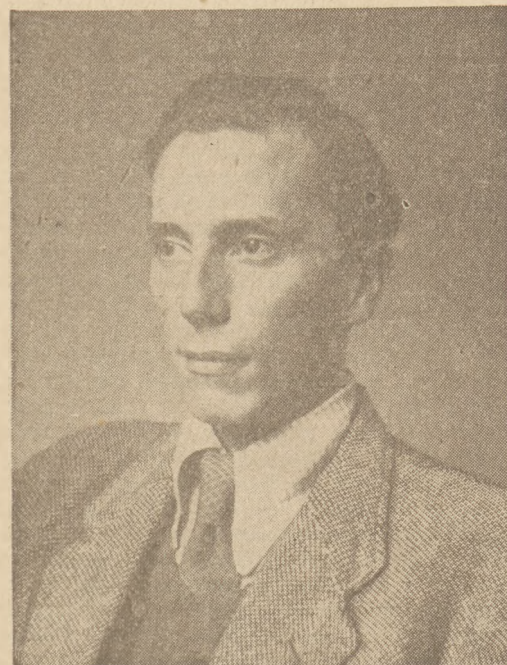
Oczywiście — jak we wszystkich sprawach związanych z organizacją naszego życia muzycznego w obecnej chwili — będzie tu mowa raczej o postulatach do zrealizowania, niż o rzeczach już dokonanych. Ze nawiązanie kontaktów polskiej muzyki z muzyką innych krajów jest konieczne dla jej dalszego normalnego rozwoju, że muzyka polska wykazuje poziom, który ją do tego upoważnia i że musi się to stać w najbliższym już czasie — na to zgodzi się chyba każdy, kto interesuje się bliżej tymi sprawami. Chodzi tylko o to, jak przystąpić do tego zadania, jakie drogi i środki obrać i jak działać, aby możliwie szybko i skutecznie zrealizować te plany. Trudności są oczywiście jeszcze duże, gdy idzie o nawiązanie kontaktów międzynarodowych, trudności te istnieją zresztą nie tylko u nas, ale i gdzie indziej.

Na przeszkodzie stoi obecnie przede wszystkim brak odpowiednio zorganizowanych instytucji i należycie przygotowanych ludzi, którzy potrafiliby poprowadzić te sprawy, z natury rzeczy dość skomplikowane.

Za przykład służyć może choćby Ameryka Północna, gdzie Narodowa Konfederacja Profesorów Muzyki rozstała do profesorów muzyki całego świata zaproszenia na zebranie mające się odbyć w Cleveland w marcu br. Zaproszenia te, rozesłane przez amerykańskie placówki dyplomatyczne na cały świat, nie dały rezultatu. Nie nadeszła ani jedna odpowiedź. Nawet więc i Ameryka, której straty w ludziach nie pozostają przecie w żadnym stosunku do strat krajów europejskich, a zwłaszcza tych, przez które przeszła nawała hitleryzmu, nie posiada w tej chwili wystarczającego sztabu pracowników dla zorganizowania tych spraw.

U nas dotychczas się do tego jeszcze i ten fakt, że jesteśmy tak bardzo zajęci organizowaniem i przeorganizowaniem własnego życia muzycznego, że do tej pory nie mieliśmy po prostu ani czasu, ani możliwości wyjścia poza kwestie czysto wewnętrzne. Mimo to nie wolno nam zapominać o tym, że ważnym zadaniem naszej kultury muzycznej jest jednak chęć w przyszłości współżyć ze światem, musimy już dziś zacząć organizować i te najtrudniejszą dziedzinę kultury. Tym bardziej, że już obecnie otwierają się przed nami perspektywy i możliwości nawiązania zagranicznych kontaktów, które powinniśmy wyzyskać.

Jedną z takich możliwości została już nawet wyzyskana. Muzycy polscy wzięli udział w odbywającym się obecnie londyńskim festiwalu Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej. Towarzystwo to nie jest organizacją nową, powstało po pierwszej wojnie światowej, gdy — podobnie jak obecnie — muzycy europejscy znękami kilkoletnią izolacją, chcieli dowiedzieć się, jak kształtowała się ideologia artystyczna ich kolegów po fachu po drugiej stronie bariery granicznej, zapragnęli wzajemnego porozumienia, wymiany poglądów i poznania pracy. Urządzono zjazd, na którym wykonano utwory awangardowe, powstałe w latach wojennych. Zjazd przekształcił się wkrótce w stałą organizację, do której przystąpiły wszystkie niemal kraje Europy, a później Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i niektóre kraje Ameryki Południowej. Prezesem Towarzystwa był przez długie lata znany muzykolog angielski Dent, prezesem sekcji polskiej Karol Szymanowski, później Zbigniew Drzewiecki. Przy każdej sekcji była Komisja Opiniodawcza wybierana na rok spośród członków zwyciężczych; zadaniem jej był wybór najbardziej wartościowych utworów napisanych w ciągu ostatnich 2-3 lat, zwłaszcza przez kompozytorów o mało jeszcze znanych nazwiskach, dla przedstawienia ich Międzynarodowej Komisji Opiniodawczej. Po zatwierdzeniu przez nią utworów te wchodziły do programu dorocznego festiwalu międzynarodowego, odbywającego się coraz to w innej stolicy Europy.



ANDRZEJ PANUFNIK

Tak więc festiwale M. T. M. W. stały się bardzo ważną placówką międzynarodowej kultury muzycznej. Szczególne znaczenie miały one dla kompozytorów polskich, zwąszy na naszą słabą organizację życia koncertowego w okresie przedwojennym. W Polsce niejednym z młodych kompozytorów musiał nieraz czekać latami na udostępnienie mu kontaktu z publicznością (poza jedyną może Filharmonią warszawską, która miała większe możliwości i orkiestrą Polskiego Radia w Warszawie, gdzie w ostatnich latach przed wojną Grzegorz Fitelberg czuwał nad losem awangardowej muzyki polskiej) i nie miał nawet możliwości skontrolowania swej wizji dźwiękowej, realizowanej często tylko na papierze. Fakt przyjęcia jego utworów na festiwal M. T. M. W. otwierał mu od razu drogę w świat. Dla młodego, nieznanego jeszcze pianisty, czy skrzypka miało to podobne znaczenie jak pierwsze miejsce na konkursie międzynarodowym. Wielu kompozytorów polskich zdobyło przed wojną miejsce w tych festiwalach; należą do nich poza Szymanowskim m. i. Kassern, Palester, Woytowicz, Jerzy Fitelberg i Koffler (który zginął tragicznie z rąk hitlerowców podczas wojny we Lwowie).

Towarzystwo Muzyki Współczesnej zostało obecnie reaktywowane zarówno w zasięgu międzynarodowym, jak i polskim. Pomimo trudności komunikacyjnych i organizacyjnych i bardzo krótkiego czasu, jaki wyznaczono na reorganizację, wybrano nowy Zarząd z Zb. Drzewieckim jako prezesem i nową Komisję Opiniodawczą i wysłano do Londynu do Międzynarodowej Komisji Opiniodawczej kilkanaście utworów polskich powstałych w okresie wojny. Wynik był wspaniały: Polska i Francja otrzymały największą ilość miejsc.

Z nadesłanych utworów kompozytorów polskich trzy zostały wybrane do zaprodukowania na festiwalu: Jerzego Fitelberga (syna znanego dyrygenta) Kwartet smyczkowy, Romana Palestra Koncert skrzypcowy z towarzyszeniem orkiestry (który odegrany zostanie na festiwalu przez Eugenię Umińską) i Andrzeja Panufnika Pieśni ludowe na kameralny zespół wokalo-instrumentalny. Sukces polski jest tym większy, że na liście tegorocznego festiwalu widnieją nie tylko nazwiska „nowe”, ale i bardzo już znane, o dużej sile atrakcyjnej, jak Strawiński, Schoenberg, Křenek i inni.

Drugim ważnym terenem, który otwiera się w tej chwili przed nami dając możliwość nawiązania międzynarodowych kontaktów, jest Ameryka. Pierwsze wysiłki w tym kierunku zawdzięczamy Tadeuszowi Kassernowi, znanemu kompozytorowi polskiemu, który od pół roku przeszło pracuje na terenie Nowego Jorku jako attaché polskiej ambasady dla spraw sztuki. Jego zasługą jest zorganizowanie Komitetu Fundacji Chopinowskiej mającej na celu nie tylko propagandę muzyki polskiej, ale i materialną pomoc dla naszych muzyków zniszczonych przez wojnę, pomoc w instrumentach, przydziałach odzieżowych itp. Kassernowi udało się pozyskać dla tej fundacji współudział największych muzyków działających na terenie Ameryki, jak Rodziński, znany polski kapelmistrz, Artur Rubinstein, Stokowski, Toscanini. Do Komitetu mają też wejść najwybitniejsi przedstawiciele radia i filmu. Rodziński zamierza przed-

do programu swych koncertów symfonicznych wiele utworów polskich, Rubinstein na rzecz Fundacji oddaje 3 własne koncerty, radio natomiast zaoferowało cotygodniowe półgodzinne audycje z programem wyłącznie polskim. Poza tym w Ameryce działają w tym kierunku jeszcze inne placówki.

Najszerzej zakrojoną akcją planuje Narodowa Komisja U. S. A. przez swą Sekcję Muzyczną, powstałą w ramach Statutu Wychowawczego, Naukowego i Kulturalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych (UNESCO) Poza organizacją festiwalów muzycznych, muzyczno-pedagogicznych kongresów itp. przewiduje ona także szeroko zakrojoną akcję wymiany zespołów pomiędzy Ameryką a poszczególnymi krajami Europy oraz — rzecz niezmiernie ważna — wymianę studentów (podobna akcja na terenie uniwersytetów zorganizowana była zresztą już przed wojną). Akcja ta ma dla nas podwójne znaczenie: pokaz muzyki polskiej na terenie Ameryki i możliwość bliższego zapoznania się naszych muzyków z organizacją dzisiejszego życia muzycznego w Ameryce.

Ważną będzie oczywiście nie tyle twórczość, która — sądząc z tego, co zdążyliśmy się o niej dowiedzieć już w okresie powojennym — nie może się poszczycić czymś nowym lub ciekawym, ile raczej same metody organizacyjne, przede wszystkim w dziedzinie szkolnictwa muzycznego i radia. Jasne jest, że Polska powinna jak najprędzej wyzyskać wszystkie możliwości, które się jej nadarzą, ale jasne jest również, że rozstrzygać będzie fakt, jak i kto się do tego zabierze, czy będą to ludzie powołani, którzy potrafili sprostać tak trudnym i ważnym zadaniom.

Ambasadzie polskiej w Waszyngtonie i Ministerstwu Spraw Zagranicznych winny przyjść z pomocą związki, a więc Związek Zawodowy Muzyków i Kompozytorów oraz Centralna Rada Muzyczna, której powołania do życia domagamy się już od roku, a która powinna stać się czynnikiem kierującym wszystkimi naszymi zasadniczymi poczynaniami tak w kraju, jak i na terenie międzynarodowym.

Dalsza bardzo ważna sprawa o znaczeniu międzynarodowym — to Międzynarodowy Konkurs dla Młodych Muzyków (pianistów, skrzypków, śpiewaków, specjalistów na instrumentach dętych i zespołów kwartetowych) mający się odbyć na jesieni br. w Genewie. Nasz świat muzyczny powinien niewątpliwie zainteresować się tym konkursem. Należałoby stwierdzić, jak przedstawia się w chwili obecnej, po sześciu latach okupacji, stan młodych talentów w Polsce. Czy są talenty, które mogłyby ubiegać się o wyróżnienie na konkursie międzynarodowym, a jeżeli tak, to trzeba starać się o wysłanie ich do Genewy. Może się to stać tylko drogą wewnętrznych konkursów i eliminacji po wszystkich większych środowiskach muzycznych z jakąś ostateczną eliminacją centralną. Czas dziać się nas od ostatecznego terminu zgłoszeń jest już bardzo krótki (termin upływa z dniem 1 sierpnia br.), a o przygotowaniu do konkursu genewskiego nie się prawie nie słyszy. Inicjatywę podjęła jedynie krakowska YMCA, która jednak z różnych względów nie będzie mogła działać centralnie, na całą Polskę. Znosi się na to, że znowu jedna z waż-



JERZY FITELBERG

nych okazji wywalczenia miejsca w świecie młodym talentem polskim zostanie zmarnowana.

Akcja nawiązania kontaktów muzycznych ze Związkiem Radzieckim także jeszcze ciągle kuleje i to niestety właśnie z winy polskiej. Nie tylko sposób organizowania wyjazdu artystów polskich na występy do Moskwy budzi poważne zastrzeżenia, ale też i sama wymiana kompozycji współczesnych. Mimo kilkakrotnych zaproszeń ambasady polskiej w Moskwie, za mało dotąd zrobiono, aby zapoznać Rosję ze współczesną muzyką polską. Trudno winić tu poszczególne placówki muzyczne. Każda z nich jest przecieżą pracą. Należałoby raczej powołać do życia specjalną instytucję, która miałaby za zadanie organizowanie kontaktów międzynarodowych. Dysponując odpowiednimi ludźmi i funduszami spełniłaby swoje zadanie.

Stefania Łobaczewska

Pas d'ennemi à droite

Załatwienie sprawy tych członków PSL, którzy publicznie w „Nowym Wyzwoleniu“ zajęli stanowisko sprzeczne z decyzjami organów naczelnych swego stronnictwa, starym komunalem o obcych „wtyczkach“ albo ubolewaniem, iż naruszyli oni „dobre obyczaje w organizacjach demokratycznych“ — jest płytkim i nie wyjaśniającym ujęciem sprawy. Właśnie zachodnio-europejski i demokratyczny polityk nie będzie traktował takich objawów jedynie jako intrzy „obcych agentur“ i jako objawów upadku moralnego secesjonistów czy opozycjonistów, lecz będzie szukał głębiej. Uzna każdy taki zbiorowy protest części stronnictwa przeciw polityce jego kierowników za symptom wewnętrznych, istotnych niedomagań czy wewnętrznych, istotnych przemian i będzie się doszukiwał tych przemian. Właśnie zachodnio-europejski i demokratyczny polityk nie będzie pewnych niemiłych mu posunięć dotychczasowych przyjaciół politycznych traktował jako objaw upadku moralnego, gdyż zakłada, że działacz polityczny jest człowiekiem uczciwym i działa z pobudek uczciwych, choćby działał inaczej niż on.

Tym bardziej trzeba szukać, czego symptomem jest wewnętrzny rozłam w PSL, skoro nie jest to rozłam pierwszy. Przeciwnie — cała okres międzywojenny był okresem zrastania się wszystkich grup ludowych w jedno stronnictwo, obejmowania kierownictwa w tym stronnictwie przez polityków ludowych pracujących i dążących do kompromisu z ugrupowaniami nacjonalistycznymi — a potem zawsze po dojeściu do połączenia wszystkich ludowców próbowali realizować politykę „pas d'ennemi à droite“ („nie ma wroga na prawicy“) i zawsze wtedy doprowadzali do rozbicia jednolitości.

Sięgnijmy w przeszłość. Pierwsze rozbicie jednolitości ludowców to listopad 1918: na tle odmiennego stosunku do rządu lubelskiego a potem do rządu Moraczewskiego, przeciw któremu występuje „Piast“, za którym opowiada się lewica ludowa. Potem następuje połączenie w październiku 1919 — i dochodzi do rozbicia w styczniu 1920 (próby prawicy ludowcowej porozumienia ze Związkiem Ludowo-Narodowym na temat reformy rolnej). Wybory 1922 to okres najgwałtowniejszej walki między różnymi grupami ludowymi: w rezultacie „Chjena“ (endecki Chrześcijański Związek Jedności Narodowej) uzyskuje jeden mandat do Sejmu na 12 000 głosów, „Piast“ potrzebuje już ponad 14 000, a „Wyzwolenie“ ponad 15 000 głosów na jeden mandat. Rok 1923, to nowy rozłam, już wewnątrz „Piasta“, jako protest przeciwko próbie kompromisu jego przywódców z endecją na temat

reformy rolnej (maksimum posiadania może być podniesione do 340 ha, a przy wyłączeniach do 1120 ha, nowoutworzone z reformy rolnej gospodarstwa mają wynosić od 25 do 75 ha). Rok 1925 — nowy dalszy rozłam ciągle na tle stosunku do reformy rolnej. Rok 1926 — dalsze próby kierowników prawicy ludowej porozumienia z endecją. Stanisław Thugutt pisze wtedy o „mocnym zabarwieniu nacjonalistycznym“ przywódcy „Piasta“ i rzuca twierdzenie: „rząd parlamentarny oparty na większości reprezentowanej przez pp. Witosa i Stanisława Grabskiego jest prowokowaniem awantury, która i tak wali się na nas jak podmyty mur“. Awantura też przyszła.

I potem przychodzi okres najcięższy: stałe odchodzenie polityków ludowych do obozu Józefa Piłsudskiego. Znowu i tu legenda „wtyczek“.

Ale przecież nawet Piłsudski nie mógł myśleć o tym, by „wetknąć“ swoich ludzi do jakiegoś stronnictwa, w roku np. 1915, po to, by uczynić ich czynnikiem rozkładu tego stronnictwa w roku 1930 czy 1935. To jest upraszczanie i wulgaryzowanie historii, ujmowanie jej pod kątem „diabolicznego mecha-nizmu“ jednostki i biernej roli pionków tej jednostki. W ciągłych secesjach, zwłaszcza lewicowych w latach 1930—1935, tkwi co innego, tkwi wewnętrzna tragedia ludzi, którzy widzieli, jak ich przywódcy polityczni dążą ciągle do opozycyjnego bloku ludowców nie z lewicą, lecz ze Stronnictwem Narodowym i którzy sądzili, że obóz Piłsudskiego jest mniejszym niebezpieczeństwem dla demokracji niż obóz Dmowskiego i Bieleckiego. Wszak połączenie ludowców to rok 1931, okres „Centrolewu“, a secesje 1935 r. odpowiadają ponownemu flirtowi wódzów Stronnictwa i ze Stronnictwem Pracy, o skrzydle demokratycznym o wiele wtyczki słabszym niż dzisiaj, i ze Stronnictwem „Narodowym“.

Stanisław Thugutt pisał kiedyś: „Obawiam się, że budujemy Polskę drogą eliminowania głupstw i że został ich jeszcze przed nami długi, bolesny szereg“. Byłoby dobrze, gdyby politycy polscy pamiętali o tym zdaniu. Dzieje stronnictwa ludowego wykazały, że zawsze wtedy, gdy w stronnictwie tym pada hasło „wróg jest na lewicy“ — stronnictwo płaci za to wewnętrzny rozłam, a zarabia nacjonalistyczną prawicą. Dzieje opartego na chłopach radykalnego centrum we Francji wykazały, że centrum do wtedy tylko odnosi sukcesy i współrządzi, jeśli rzuca swym wyborcom hasło „pas d'ennemi a gauche“ („nie ma wroga na lewicy“).

Konstanty Grzybowski

Dzisiaj „Dziś i Jutro“

W moim zielniku gromadzę okazynie różne osobliwe rośliny, które — gdy czas pozwoli — usystematyzuję i opiszę według grup i podgrup. Na dzisiaj — trzy kwiatki z niwy „Dziś i Jutro“.

FILOZOFIA P. J. D.

J. Dobraczyński, który jednym tchem do „wielkiego teatru polskiego“ wlicza Mickiewicza, Słowackiego i Miłoszewskiego, który „Niespodziankę“ Rostworowskiego uważa za „rewelację sprawy chłopskiej“, a o „Prosto z Mostu“ pisze, że powstało, „by w Polsce powstał inny, zdrowszy wiew i aby się w końcu skończyły czasy pan i pani seksualizmu, wchodzenie do literatury od tyłu zaś do gabinetów od frontu“ — w podobny sposób interpretuje Hitlera, ale Hitler wyrósł jako dzika rewolta przeciwko dobie „cyjankali“, homoseksualizmu i życia dla użycia. Słowem, nie kapitalizm finansował grubszymi milionami „słodkiego Dolfi“, by skierował on drobno-mieszczanski szowinizm na tory zaborczych wojen, lecz homoseksualiści Hitlera powstałi przeciw samemu sobie w obronie zagrożonej moralności, organizując noce długich noży. Oczekuję dalszych rewelacji.

UCZYŁ MARCIN MARCINA...

Cytując głośno przemówienie, jakie na komisji kontroli energii atomowej wygłosił senator B. Baruch, kronikarz „Dziś i Jutro“ dorzuca z wyższością: „brzmienie nazwiska według „Dziennika Zachodniego“, dotychczas znaliśmy go jako Boraha, germanofila, zawziętego wroga Polski“. Ignorancję i arrièrę pensée należy tępić, a pewność siebie kronikarza jest tak wielka, iż przekonywa. Muszę zatem przyjąć, że zaszedł tutaj rzadki fenomen metempsychozy i że duch senatora Boraha, zmarłego przed rokiem wodza izolacionistów amerykańskich (rodem z Idaho) wszedł istotnie w starego Bernarda Mannesa Barucha (rodem z Nowego Jorku), bankiera i męża stanu, zaufanego prez. Wilsona i prez. Roosevelta i jednego z najwybitniejszych zwolenników czynnego udziału USA w polityce światowej, członka „trustu mózgów“, w 1918 r. twórcy War Industries Board, w 1939 roku twórcy War Resources Board, w 1941 r. twórcy Office of Emergency Management i Office for Production Management, etc. etc.

O WANDZIE CO NIE CHCIAŁA KRAKOWA

„Okazywana przez krytykę krakowską niechęć do sztuki warszawskich wykazuje jedynie odwieczny antagonizm między prowincją a wspaniałą mimo wszystko stolicą“. Taką wnikliwością olśniewa pewna Wanda, z prowincji chyba rodem, bo gdzieżby Warszawiance przyszło podobne głupstwo do głowy. Głupstwem to jednak dlatego godne jest uszczknienia i zasuszenia w zielniku, że różnie na różnych grządkach, niepotrzebnie brzydkim zapachem zatruwając okolice. A fel-

jascz